Nr. 207. Lwów — Piątek dnia 11 Września. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie:
Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: | św. Jacka i Prota | Ścięcie ś. Jana Aleksandra
Jutro: | św. Gwidona W. |
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o godz. 5 m. 38
Zachód „ „ 6 m. 14
Długość dnia godzin 12 minut 36
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Nowy ukaz dla Litwy.

Petersburski *Goniec Rządowy* ogłosił rozkaz carski „o zastosowaniu do gubernij wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej ustawy z 12 lipca 1889 r., oraz o wyasygnowaniu na ten cel potrzebnych funduszów.“ Stosownie do tego rozkazu, rada państwowa postanowiła: znieść istniejące na Litwie gubernialne urzędy, zajmujące się wyłącznie sprawami gminnemi, a natomiast utworzyć dla tych spraw powiatowe komitety, złożone z urzędników i powołanych przez rząd obywateli; znieść urzędy komisarzy włościańskich i sędziów pokoju, wszystko zaś, co oni wykonywali, przekazać urzędnikom nowego typu, zwanym „naczelnikami ziemskimi“; utworzyć urzędy sędziów miejskich dla spraw drobiazgowych; zamianować 23-ech marszałków powiatowych i 152-ch naczelników ziemskich, wyasygnować z państwowego skarbu 849.730 rubli na pensye dla tych urzędników, a komisarzy włościańskich spensyonować.

Ten ukaz carski nosi datę 8 czerwca 1903 r., a rozporządzenie rady państwowej datę 3 września r. b. Od tej więc chwili Litwa posiada urządzenia mniej więcej takie, jakie rosyjskie gubernie otrzymały 12 lipca 1889 r. Jest to coś w rodzaju autonomii, wypaczonej o tyle, że marszałkowie powiatowi i członkowie komitetów powiatowych, czyli „ziemstw“ są w rosyjskich guberniach wybierani przez obywateli, a na Litwie będą mianowani i usuwani przez jeneralnego gubernatora. Dalej, wedle ustawy z 12 lipca 1889 r. marszałek powiatowy jest zawsze prezesem komitetu powiatowego i wykonawcą jego ekonomicznych postanowień, które nie potrzebują zatwierdzenia gubernatora, jeżeli nie przekraczają normalnego budżetu i statutu; na Litwie zaś jeneralny gubernator ma prawo zamianować osobnego prezesa komitetu, a zgoła każde postanowienie tej instytucyi musi być zatwierdzone przez gubernatora.

Instytucya „naczelników ziemskich“ na Litwie niczem się nie będzie różniła zasadniczo od takiej samej instytucyi w guberniach rosyjskich. Tu i tam mianuje ich rząd, tylko w Rosyi, z powodu braku szlachty, która przeważnie opuściła zrujnowane wioski, zwyczajem się stało, że na te posady powoływani są emerytowani podpułkownicy albo pułkownicy, na Litwie zaś jeneralny gubernator ks. Swiatopełk-Mirski postanowił powołać przeważnie miejscowych obywateli-rolników, a między nimi, jak słyszeliśmy, Polaków: księcia Gedrojcia, hr. Platera, hr. Kossakowskiego, pp. Kończę, Kiewlicza, Świdę, Kwintę i jeszcze innych.

Najważniejszem w całej tej reformie jest zniesienie komisarzy włościańskich i sędziów pokoju, a ustanowienie natomiast „naczelników ziemskich“. Komisarze razem z sędziami—mianowani z pośród czynownictwa — widzieli cel swego istnienia w podtrzymywaniu ustawicznych sporów między dworami a gminami. Było to bardzo naturalne nietylko dlatego, że wynikało z dążności rosyanizatorskich, ale jeszcze dlatego, że tam, gdzie wszystkie serwituty były uregulowane, komisarz włościański, jako adwokat interesów gminnych, był już zbyteczny i tracił nader wygodną posadę. Sędzia pokoju szedł zawsze ręka w rękę z komisarzem, tworzył więc waśń, zamiast tworzyć pokój.

Naczelnik ziemski, jako administrator pewnej części powiatu i zarazem sędzia w sprawach małego znaczenia na swoim obszarze, będzie osobistością zawsze potrzebną, bo niezależną od tego, czy są spory między warstwami społecznemi, czy ich nie ma. Jako sędzia, wyrokuje on we wszystkich sprawach cywilnych, w których chodzi o wartość nie przenoszącą 500 rubli; w sprawach o dzierżawę, o szkody w polu, o najem robotników i służby domowej, o przywrócenie stanu posiadania, jeżeli od naruszenia go nie minęło pół roku; wyrokuje dalej w sprawach o kontrakty, w których chodzi o zobowiązania, sięgające do 300 rubli; wreszcie jego jest obowiązkiem przechować wszelkie dowody sądowe, jeżeli się stała jakaś zbrodnia, której on sam sądzić nie może. Jako administrator, nadzoruje on gminy, zatwierdza lub zawiesza ich uchwały, kontroluje wójtów i pisarzy, strzeże całości majątków gminnych, dobroci dróg i mostów, czystości wód, przepisów sanitarnych, wreszcie za wszelkie wykroczenia przeciw przepisom policyjnym, ogniowym itd., ma prawo karać doraźnie, bez żadnego sądu „osoby stanu niższego“ aresztem lub grzywnami.

Zmarły minister hr. Tołstoj, który potworzył urzędy „naczelników ziemskich“, niezaprzeczenie wziął był sobie za wzór angielską instytucyę „szeryfów“. Ale w Anglii jest to instytucya odwieczna, sam naród, wysoko cywilizowany, stworzył ją sobie i otoczył wielkim szacunkiem. Dlatego tam jest ona znakomita. A jaką jest w Rosyi? — o tem różni różnie mówią. Trudno zresztą przypuszczać, żeby była odpowiednią tam, gdzie wielka ciemnota, ogromnie małe poszanowanie cudzej własności, ogromne we wszystkiem niedbalstwo, wielki brak poczucia osobistej godności i mnóstwo antispołecznych prądów. Jaką będzie na Litwie, któż zdoła przewidzieć, gdy w tej instytucyi tak dużo zależy od wybranych osób? One mogą piekło stworzyć, ale mogą także zagoić wiele ran i znakomicie się przyczynić do podniesienia kraju.

Gimnazyum polskie w Cieszynie.

Polskie gimnazyum w Cieszynie zostało jak wiadomo, 1 bm. upaństwowione i funkcyonuje już jako szkolny zakład rządowy, ma przed sobą przyszłość zapewnioną, a pragnęlibyśmy, aby była świetną. Ludność polska na Szląsku obchodziła ten ważny wypadek iluminacyą i spaleniem beczek smolnych na wzgórzach, zagrzmiały też strzały z moździerzy, witając 1-szy września, pierwszy dzień działalności tego gimnazyum jako instytucyi państwowej. Całem sercem podzielamy tę entuzyastyczną radość Polaków szląskich. Siedmnaście lat walczyli oni, poruszyli rodaków na całym obszarze ziem polskich, zwoływali wiece, składali grosz do grosza, jeździli do Wiednia, do Opawy, do Lwowa — aż wreszcie wygrali sprawę, bo zagrzali do niej całe społeczeństwo polskie, przełamali przy pomocy Koła polskiego opór rządu, a udowodniwszy, że gimnazyum polskie w Cieszynie nietylko istnieć może, ale się nawet bardzo pięknie rozwija, zmusili rząd do wzięcia go w stałą opiekę.

Ta walka o gimnazyum cieszyńskie tak absorbowała Polaków szląskich, że dla niej zaniedbywali oni nawet inne pola działalności w szkolnictwie, mianowicie szkolnictwo niższe, ochronki, seminarya nauczycielskie. Ale bo też bez polskiego gimnazyum nie można było myśleć o dalszych skutecznych zabiegach w celu odniemczenia Szląska. Zobaczmy, jakie są w tym kraju szanse odzyskania jego polskiego charakteru narodowego.

Tamtejsza ludność polska, licząca z górą 200.000 głów, jest to szara masa ludowa, wciśnięta w luźne ramy wsi, lub pracująca po fabrykach, warsztatach i kopalniach. W ciągu 500 lat izolowania od pnia macierzystego, zaniedbana i lekceważona przez rodaków, utraciła poczucie odrębności, lub raczej wspólności narodowej. Wskutek tego jedni się wynaradawiali, inni byli obojętni, jeszcze inni stawali się energicznymi orędownikami sprawy niemieckiej.

Przeciw temu społeczeństwu ludowemu, silą tylko konserwatyzmu swego i niechęci do form nowych zachowującemu język i zwyczaj polski, zwróciła potęga germańska olbrzymie swe środki kultury i organizacyi państwowej. Postanowiono wynarodowienie przeprowadzić własnemi tego ludu rękami. Wyrabiano zeń inteligencyę, która w następstwie samoistnie podejmowała proces germanizacyjny. Chwycono za najgroźniejszą strzałę, jaką posiada kołczan rządowy: szkolnictwo. Gimnazya i seminarya nauczycielskie wypuszczały całe szeregi zwolenników systemu niemczenia, a co im się wymknęło, to wpadło w chciwe ręce czeskie.

A więc z jednej strony olbrzymi aparat rządowy, rozporządzający stosunkowo niezmiernym sztabem urzędników, nauczycieli, adwokatów, lekarzy, kupców, przemysłowców, funkcyonaryuszów w ogromnych tam dobrach rządowych, xięży, posłów, z drugiej — garsteczka niezbyt zamożnej, niewpływowej, skrępowanej różnymi względami inteligencyi polskiej w Cieszynie, tu i ówdzie zamożniejszy chłop na wsi, gdzieniegdzie jakiś adwokat, xiądz, wójt lub rzemieślnik. Położenie bardzo trudne, gdy się jeszcze zważy, że społeczeństwo niemieckie samo, na własną rękę, po za wysiłkami rządowymi, podejmuje walkę narodową. Hakatyzm szląsko-austryacki jest może dawniejszy od pruskiego; on zawsze rząd wiedeński inspirował, wszczynał alarmy, dawał wskazówki, ponosił nawet znaczne ofiary na rzecz idei niemieckiej w Cieszyńskiem. Niemniej groźnymi dla polskości na Szląsku byli i Czesi, zręczniejsi w niejednym kierunku od Niemców, a często przez to niebezpieczniejsi, że umieli przeforsowywać swoje własne interesa narodowe, rozczulając i usypiając Polaków hasłem solidarności słowiańskiej.

W takich warunkach praca w kierunku rozbudzenia ducha narodowego na Szląsku, mimo nadludzkiej wytrwałości Stalmacha, Kluckiego, Michejdów, Cieńciałów, Glajcara, Londzina, Filasiewicza, Paździory i wielu innych, nie posuwała się daleko, nie przeniknęła pod wszystkie strzechy wieśniacze, nie ogarnęła proletaryatu fabrycznego i rolnego. Ruch narodowy zatrzymał się wśród zamożniejszej klasy t. zw. „siedlaków“, tam się skonsolidował, o tyle, o ile zorganizował, ale i znieruchomiał. Potrzeba było wprowadzenia innych żywiołów pracy i walki. W tym celu za inicyatywą Stalmacha powołana została do życia instytucya „Macierz szkolna dla Ks. Cieszyńskiego“, której celem głównym jest zakładanie i popieranie szkół polskich wszelkiego typu. Za pierwszy zasadniczy postulat programu „Macierzy“ przyjęto założenie gimnazyum w Cieszynie, mającego przeszkodzić wchłanianiu najlepszych jednostek polskich przez średnie zakłady niemieckie. Było to w r. 1886.

Z początku szła sprawa bardzo opornie. Myśl podobała się ogólnie, lecz pieniędzy brakło. Do r. 1894 zebrano 41.000 zrł. Była to suma pokaźna, ale nie wystarczająca jeszcze do otwarcia gimnazyum, którego się spodziewano dopiero za jakie dziesiątki lat.

Tymczasem od r. 1894 ruszyła się żwawiej inteligencya szląska. Zasypano Galicyę listami, podniecono opinię publiczną, posłowie cieszyńscy wnieśli sprawę swoją do parlamentu, zakotłowało się na Szląsku. Składki poczęły napływać szybciej, znalazły się ofiary większe, a nawet bardzo duże; jednocześnie zaś podniosła się wiara, podniosły się nadzieje. W ciągu paru lat następnych „Macierz“ znalazła się już w posiadaniu z górą 100.000 zł. Zaczęto wołać o otwarcie gimnazyum. Byli tacy, co uważali tę chwilę za przedwczesną i obawiali się, czy zanim przyjdzie upaństwowienie gimnazyum fundusze się nie wyczerpią, a wtedy nastąpiłoby fiasco, któreby na długi czas odebrało Polakom szląskim zaufanie we własne siły. Ale energia i siła wiary x. Londzina i x. Świeżego przezwyciężyła obawy. Gimnazyum otwarto, a nawet napłynęła doń taka liczba uczniów, jakiej się nie spodziewano. A więc widocznie w ludzie cieszyńskim tkwiło świadome poczucie swych potrzeb i swych niebezpieczeństw.

Ostatnie lata walki mamy świeżo w pamięci: ciągła troska o pieniądze, ciągłe zabiegi poselskie u rządu o upaństwowienie. Ostatecznie to upaństwowienie przyszło do skutku. Dnia 27 z. m. przybyła do Cieszyna komisya odbiorcza, złożona z 4-ch członków: starosty z rządu krajowego, radcy budownictwa, radcy rachunkowego i lekarza rządowego. Przyjęli ją w gimnazyum członkowie „Macierzy“, prezes ks. Londzin, dyrektor gimnazyum p. Winkowski, tudzież pp. Dybowski i Michejda. Komisya odebrała po 2 spisy inwentarza gimnazyalnego i sprawdziła, że przedmioty spisane istotnie są na miejscu. Biblioteka nauczycieli i uczniów, oraz środki naukowe przedstawiają się dość obficie. Nauczyciele korzystać mogą z 3.820 dzieł w 6.029 tomach, uczniowie z 1.396 dzieł, w 16.297 tomach. Nadto dla ubogich uczniów jest biblioteka obejmująca książki i podręczniki szkolne, ofiarowane przez uczniów bogatszych, a w części zakupione przez „Macierz“. W tym roku jest w niej książek przeszło 2.000. Gdy się rozglądamy w środkach naukowych w Cieszynie, nie czujemy, że gimnazyum z takim trudem utrzymywało się przez lat osiem. Map geograficznych i historycznych jest 57, a okazów w dziale przyrodniczym 3.836. Sprawozdanie za rok szkolny 1902/1903 wykazuje kupno 77 przyrządów fizycznych. Świadczy to o staranności nauczycieli i zaradności „Macierzy“, która rozporządzała zawsze środkami bardzo skromnemi, a co najgorsza, niepewnemi, bo płynącemi ze składek.

W ostatnim roku było w gimnazyum 250 uczniów, mianowicie synów obywateli, urzędników, nauczycieli, lekarzy itp. było 39, synów rolników 105, rękodzielników i przemysłowców 53, synów robotników 48, synów oficyalistów prywatnych 5. A więc kontyngentu uczniów dostarczają głównie klasy ubogie. Aby wspomódz tych chciwych nauki biedaków „Macierz szkolna“ uzyskała pozwolenie na urządzenie loteryi fantowej 100,000 losów po 1 zlr. Jeśli się powiedzie sprzedaż tych losów można liczyć na kilkadziesiąt tysięcy reńskich, które mają być użyte na założenie bursy dla ubogich uczniów i na stypendya. Plac na którym stoi gimnazyum, zostaje własnością „Macierzy“, a jest tak wielki, że może na nim stanąć i własny dom szkoły ludowej i bursa — potrzeba tylko pieniędzy. Spodziewać się więc należy, że ofiarna dotąd publiczność polska poprze nadal cele „Macierzy“ i losy owej loteryi fantowej rozkupi.

Upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie serdecznie gratulujemy rodakom szląskim. Jest to fakt dla całej Polski doniosły i pocieszający.

Konferencya międzyparlamentarna.

(Telegram Przeglądu).

Wiedeń 10 września.

Na wczorajszem posiedzeniu unii międzyparlamentarnej del. Horst z Norwegii wskazał na dążenie do neutralności państw skandynawskich i oświadczył, że rząd norweski, który już w zeszłym roku uchwalił popierać usiłowania w sprawie sądów rozjemczych, mógł w ostatnim czasie, dzięki pewnym układom z Szwecyą, nawiązać w tej sprawie rokowania z innemi państwami.

Uchwalono wyrazić grupie skandynawskiej sympatyę z powodu sprawiedliwych jej dążeń do neutralności Skandynawii, oraz postanowiono, że państwa, które nie przystąpiły do r. 1901 do konwencyi haskiej, mogą i obecnie jeszcze do niej przystępować. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie delegata Gobata o działalności międzyparlamentarnej unii od czasu konferencyi haskiej. W sprawozdaniu tem podniesiono, że od r. 1900 36 międzynarodowych zatargów, które mogłyby wywołać poważne nieporozumienia, załatwiono przez sądy rozjemcze.

Następnie zabrał głos uczestnik konferencyi dr. Karol Lewakowski i przypomniał swój wniosek, postawiony w Chrystyanii co do stworzenia ogólnego, autentycznego prawa narodów. Ważność i wartość tego wniosku uznali wówczas wszyscy mówcy. To zadanie może międzyparlamentarna unia podjąć z czystem sumieniem, spełni bowiem w ten sposób tylko „officium boni viri“ (powinność dobrego człowieka) w intesesie ludzkości. Wiem dobrze — mówił dr. Lewakowski, — że nie mamy siły, którąby dała temu prawu moc obowiązującą, jednakże możemy oddziaływać w odpowiedni sposób na opinię narodów, które reprezentujemy, możemy wpływać na opinię mas ludowych, a także na opinię parlamentów. Wszystko, co w zakresie pokoju powszechnego dotychczas zrobiono, stało się wskutek oddziaływania na opinię publiczną. Wszystkie parlamenty mogłyby przyjąć kodeks i uchwalić zasady prawa narodów. Takie dzieło pojednania i zbliżenia międzynarodowego byłoby godnem zadaniem naszych cywilizowanych czasów.

Zrazu uważaliśmy — ciągnął dalej mówca — że najpierwszem naszem zadaniem jest ogólne rozbrojenie, lecz rychło pokazało się, że usiłowania nasze w tym kierunku nie odnoszą pożądanego skutku wobec niewzruszonej opinii mocarstw, które owszem, od owego czasu podwoiły swe uzbrojenie, wobec czego musieliśmy odstąpić od tego punktu. To nie zmienia faktu, że dążymy do ograniczenia, czy też odwrócenia wojny i to za pomocą sądów rozjemczych. Naszem najbliższem też zadaniem jest przeprowadzenie prawa o odwoływaniu się do owego sądu rozjemczego.

Ale sąd rozjemczy nie jest jedynym środkiem odwrócenia wojny. W tym kierunku przyjęcie przez poszczególne narody autentycznego prawa narodów byłoby niemałym krokiem naprzód. Dziś bowiem postępowanie mocarstw dość silnych, aby przeprowadzić swą wolę, nie jest wobec słabszego krępowane niczem, żadnem postanowieniem międzynarodowem, prócz jednej tylko siły. Ostatnimi czasy nawet wynaleziono dla pokrycia tego faktu bardzo elastyczne pojęcie, jak „sfera wpływów“, „sfera inter sów“ i t. p. I tak się dzieje, że chociaż wielkie mocarstwa niejednokrotnie się różnią między sobą, ostatecznie jednak zawsze się dzielą łupem. Innym powodem, dla którego niebezpieczeństwo wojny pozostaje ciągle groźnem, jest los narodów, które w państwie stanowią mniejszość. Dlatego też prawo narodów powinno określać nietylko wzajemny stosunek państw, ale też określić stanowisko rozmaitych narodowości, tworzących jedno państwo.

Każdy człowiek wszakże ma pewne przyrodzone prawa, a mianowicie prawo używania języka swoich ojców, zachowania ich obyczajów, zwyczajów i religii, wreszcie prawo do tego, aby względem państwa był uważany na równi z każdym innym obywatelem, choćby należał do narodowości, która jest mniejszością w owem państwie. A czyż o tych wszystkich sprawach jest mowa w prawie międzynarodowem? Dzisiaj w tych kwestyach decyduje jedynie wola monarchów i rządów, a wielkie mocarstwa dążą jedynie do podboju świata.

Okólnik rosyjski, dotyczący konferencyi haskiej, bierze za podstawę swych poglądów jedną dla wszystkich sprawiedliwość i ochronę istotnego prawa narodów. A jednak po wydaniu tego okólnika pierwszym krokiem rządu rosyjskiego było zdławienie konstytucyi finlandzkiej. Wielkie narody, gnębiąc dziś narodowości pozostające w mniejszości w państwie, aby tylko podzielić się światem, nie liczą się, że same mogą się kiedyś dostać pod jarzmo innych.

Chciałbym słyszeć, coby powiedział Niemiec, Anglik, Francuz, gdyby widział, że w jego wielkiej ojczyźnie jego język jest prześladowany, jest wygnany z sądu, szkoły, nawet z

4)

Feljeton historyczny.

(Ciąg dalszy).

Wtem wybuchła rewolucya lipcowa w Paryżu, a potem listopadowa w Warszawie. Wnet na swoim posterunku londyńskim znalazła się czujna pani Lieven. Hr. Grey stanął już wówczas na czele ministeryum, i pomimo nawału zajęć, wciąż korespondował z panią Lieven. Wbrew zasadom whigowskim, wbrew ówczesnemu usposobieniu ludu angielskiego, stał się Grey wskutek namów Lievenowej zaciętym nieprzyjacielem Francyi. Argumentem głównym, jakim bojowała zręczna dyplomatka, było ustawiczne niecenie obaw angielskich o Belgię, dokąd wnet, pierwszym zaraz odruchem, była sięgnęła paryska fala rewolucyjna. Jednak przerachowała się pani Lieven; nie wzięła na uwagę opinii publicznej angielskiej, całkiem odmiennie usposobionej teraz niż przed czterdziestu laty. Talleyrand, wysłany przez Ludwika Filipa w tym samym czasie do Londynu, a pamiętający jeszcze, jak go przed czterdziestu laty z taką samą misyą pokojową był wyprawił do Londynu Danton, lepiej tę różnicę uchwycił. Ciche jego odtąd nad Tamizą walki z panią Lieven, których ślad występuje wyraźnie w częstych jej skargach do Greya, skończyły się zupełnem zwycięstwem wytrawnego dyplomaty nad kobiecą intrygą. Niestety, praktyczny Talleyrand miał tylko swoją Francyę na widoku, o resztę świata nie dbał wcale. To też w pozostałej swej robocie owoczesnej miała pani Lieven ręce rozwiązane.

Ta pozostała robota uboczna stała się dla niej niebawem pierwszą i najważniejszą: szło mianowicie o to, aby przez cały czas powstania polskiego nie dopuścić do interwencyi angielskiej na rzecz Polski. Zaprzątała więc Greya sprawami belgijskiemi i francuskiemi, interesowała się skwapliwie jego reformami wewnętrznemi, zachwycała się jego liberalnym programem, udawała bardziej postępową od lewicy parlamentu angielskiego, bardziej whigowską od wodza whigów. Skutek odpowiedział oczekiwaniom: Wielka Brytania nie wychodziła z roli bezstronnego widza. Poseł jej w Petersburgu skromnie zamykał oczy i zatykał uszy na przebieg wypadków wojennych nad Wisłą. Wysłany do Londynu młody jeszcze wtedy i niedoświadczony Aleksander margrabia Wielopolski spotykał się w sferach rządowych angielskich z lodowatą obojętnością. Odmówiono ustanowienia zacnego Ewansa konsulem angielskim w Warszawie, odmówiono najsłabszego bodaj objawu oficyalnej życzliwości. Po wyjeździe Wielopolskiego z Londynu zastąpił go tutaj młodziutki Aleksander Walewski, syn naturalny Napoleona I i pięknej pani Maryi Walewskiej. Okazał on nad Tamizą większą ruchliwość od Wielopolskiego, lecz ze skutkiem jednakowo ujemnym. Każdy jego krok był bacznie strzeżony i natychmiast paraliżowany przez czujną panią Lieven. Za pośrednictwem jednej ze swych przyjaciółek potrafiła ona wpłynąć na początkującego wówczas lorda Palmerstona, ministra spraw zagranicznych, tak, że Palmerston przyjmując Walewskiego na audyencyi, oświadczył mu bez ogródek: „W tej chwili nie Rosyi, ale Francyi się lękamy, co więcej, potrzebujemy nawet, żeby Rosya mocną była, dla użycia jej w razie potrzeby przeciw Francyi...“ Walewski spróbował uderzyć do samego Greya. Zgłosił się do niego z dwoma pismami od ks. Adama Czartoryskiego, w których książe apelował wymownie do dawnej swojej przyjaźni osobistej z teraźniejszym premierem, odwoływał się do jego serca i sumienia. Apel zgoła pozostał bez echa. „Nie mogę być kontent — donosił zasmucony Walewski do Warszawy — z rozmowy lorda Greya. Długi wstęp do niej uczynił, oświadczył. że przyjmuje mnie tylko jako osobę prywatną. Trzymał się w wielkiej rezerwie i nakoniec powiedział, że — przejrzy jeszcze raz starannie akty Kongresu wiedeńskiego“. Ze swojej strony, jak możemy się obecnie przekonać z korespondencyi niniejszej, Grey natychmiast pośpieszył z przykładną pokorą zdać sprawę pani Lieven z odprawy danej Walewskiemu. Aliści przy tej sposobności ośmielił się, w formie najdyskretniejszej, odezwać się do niej z radą pokojową. Tego nawet drobnego zapomnienia nie przepuściła mu wymagająca przyjaciółka i zaraz w swojej odpowiedzi, zamiast dziękować, ostro głowę mu zmywa: „Proszę Cię, kochany lordzie, nie powtarzaj tego nikomu, coś mi pisał, gdyż cały świat nie jest tak łaskawego usposobienia, jak ja“. Gorzej jeszcze dostaje mu się w marcu r. 1831, z powodu paru słów nieostrożnych, które jakoby wyrwały mu się publicznie pod wrażeniem nadeszłych wiadomości wojennych: „wszystko tam skończone, niestety“, — a on zaraz z pokorą wzorową zaklina się na wszystkie świętości, że tych słów grzesznych nie wyrzekł, że go spotwarzono. W tym samym czasie pani Lieven, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że znajdowała się w Anglii, domaga się od Greya, między innemi, aby zakazał drukowania pewnych, nie będących jej na rękę artykułów politycznyrh w *Kuryerze* londyńskim. Znakomity whig podziela to oburzenie, lecz tłómaczy jej żałośnie: „nie mamy żadnej władzy nad tem pismem; kiedy istnieje silny prąd społeczny w pewnym kierunku, jak w danym razie, wszelka kontrola staje się niepodobieństwem. Możemy przekupić pisma mało poczytne, lecz niewielki byłby stąd zysk, zaś dochody pism tutejszych, bardziej wziętych, są tak znaczne, że nie ma sposobu ich kusić“.

Sam Grey zresztą niebawem doświadczył na sobie niemiłych skutków swobody słowa drukowanego. W kwietniu 1831 roku ogłosił *Morning Chronicle* list jego wystosowany ongi, w lipcu 1814 r. do Kościuszki, pełen nieopatrznych serdecznych sympatyi. „Bądź pewien— tak przed kilkunastu zaledwo laty wynurzał się ten sam Grey w owym kompromitującym liście, teraz, jak na złość wydobytym z zapomnienia — że los Twego kraju nikogo silniej dotykać odemnie nie może. Przygody tego mężnego a nieszczęśliwego narodu, jego stateczność i cnoty, których wzór znakomity widzimy w Twojej osobie, muszą wzbudzać ku sobie pociąg serc, przeniknionych sprawiedliwością i ludzkością... Te uczucia są zbyt głęboko w duszy mojej wyryte; chciej ufać, iż nie zaniedbam żadnej sposobności do wynurzenia ich jawnie, gdziekolwiek tylko osądzą, że będą mogły być skuteczne.“ Trzeba było zaiste karygodnej niedyskrecyi, ażeby te stare grzechy teraz przypominać premierowi i wywlekać je na trybunę publiczną.

Z widocznem też zakłopotaniem piorunuje nieborak Grey na taką niedyskrecyę w skruszonem piśmie do pani Lieven. Za nadejściem ciężkiego lata 1831, biedny lord w coraz cięższych znajduje się kłopotach. W sierpniu „zmuszony“ przyjąć u siebie Niemcewicza, odbiera zaraz okrutną burę od swojej przyjaciółki i tłómaczy się ze skruchą, że Niemcewicz nie jest znów tak niebezpieczny, że jest to siedmdziesięcioletni schorowany i sterany starzec, że jest to znajomość jeszcze z przed lat czterdziestu, kiedy bawił w domu szlachetnego lorda jako adjutant Kościuszki, że zatem nie można było tak bez ceremonii odpędzić ode drzwi tego niemiłego gościa. To były zapewne okoliczności łagodzące. Zresztą, tymczasem na głównym terenie wszystko się skończyło. „Nareszcie — pisała pani Lieven do premiera angielskiego, donosząc mu o wzięciu Warszawy — jestem spokojna o Polskę i mogę całkowicie oddać się tutejszym sprawom parlamentarnym.“ Ale i teraz jeszcze, z czujną swoją wrażliwością nie myślała przepuścić przyjacielowi żadnych niewłaściwych wybryków, chociażby tylko sentymentalnych i towarzyskich. Tymczasem Grey zimą tegoż roku tak dalece znów się zapomniał, że — zaprosił do siebie na obiad ks. Adama Czartoryskiego. Teraz już straciła cierpliwość pani Lieven i posłała swemu lordowi tak despotyczną epistołę, jakiej chyba żaden premier angielski nie otrzymał od nikogo w podobnych warunkach. „Zapominasz — pisała dosłownie — że przyjmujesz u siebie zbrodniarza“. Było to jednak za dużo nawet Greyowi. Zbudził się w nim nareszcie nie minister wprawdzie, lecz przynajmniej gentleman. „Nie wydaje mi się stosownem — odpowiedział na daną mu reprymendę — abyś mi Pani komunikowała podobne oświadczenia, ani też abym ja je odbierał. Sądzę, że jest to pierwszy wypadek, żeby członkowi rządu obce poselstwo wskazywało kogo mu wolno prosić do siebie na obiad, a kogo nie.“ Pani Lieven zrozumiała, że tym razem przeciągnęła strunę Nie nalegała więcej i przeszła nad tym wypadkiem do porządku dziennego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

prywatnego życia, jeśliby jego dzieci bito i katowano za to, że nie chcą się uczyć religii w języku, którego nie rozumieją. A jednak mimo haseł o sprawiedliwości w ten właśnie sposób postępuje się z narodem polskim.

Przewodniczący konferencyi dr. Plener, który kilkakrotnie przerywał mówcy, wzywając, by króciej się wyraził, przerwał mu w tem miejscu wezwaniem, aby się trzymał porządku dziennego.

Dr. Lewakowski wywodził dalej, że te właśnie powody skłoniły naród polski, iż od 100 lat trzykrotnie zaczynał wojnę, aby z bronią w ręku dochodzić praw swoich.

Liczymy wprawdzie — rzekł mówca — dwadzieścia i kilka milionów, ale gdy doliczymy do tego liczbę ludności innych ujarzmionych narodów, to uzyskamy cyfrę trzy razy większą. Niebezpieczeństwo dla pokoju światowego będzie dopóty istniało, dopóki prawa tych narodów nie zostaną uszanowane przez ustanowienie niewzruszonych podstaw. Dopóki istnieć będą takie rządy, które opierają swą władzę na teroryzmie i brutalnej sile, dopóty nie można myśleć o zniesieniu wojska, a właśnie owe wielkie armie stanowią największe niebezpieczeństwo dla pokoju, ponieważ budzą żądze zdobywcze i utrzymują drugich w bezustannych obawach. Zbrojny pokój, którego ofiarą od lat 30 jest Europa, obudził ducha feudalnej reakcyi i cofnął ludzkość o całe stulecia. Z pewnością jest naszem zadaniem przekonać narody, że prawa narodów dadzą się przeprowadzić na podstawie sprawiedliwości i słuszności.

Następnie przemawiali hr. Apponyi i Paiva (z Portugalii) za międzynarodową unią prasową.

Z kolei przyjęto rezolucyę p. Brumbaro w sprawie przeprowadzenia haskiej uchwały o międzynarodowem prawie prywatnem.

Bułgar Bobczew polecił komisyi sprawę przyśpieszenia poprawy losu mieszkańców tureckich prowincyj w Europie przez szybkie zastosowanie odnośnego artykułu traktatu berlińskiego.

Miejscem przyszłego kongresu wybrano St. Louis w Ameryce. Po wyborze rady parlamentarnej konferencyę zamknięto wśród zwykłych przemówień.

Wieczorem odbył się bankiet na cześć konferencyi. W toaście zaznaczył dr. Koerber, że ludzkość przychodzi do przekonania, iż koniecznem jest korzystanie w porę z siły roboczej, a im drogocenniejszym skarbem jest siła robocza, tem wyżej ceni się pokój, wśród którego ona jedynie może się rozwijać. Zakończył słowami „Walczcie Panowie w spokoju dla pokoju, by stał się on fundamentem wspólnego pożycia ludów“, poczem wzniósł toast na zwycięstwo światowej unii pokojowej słowami „Niech tryumfuje i rozwija się“. (Oklaski).

Co i o czem piszą.

Wiedeński korespondent *Czasu* w bardzo dobrym artykule wskazuje na to, do jakiego stopnia wiedeńska prasa liberalna jest obłudna i nierzetelna w omawianiu stosunków węgierskich i świadomie bałamuci w tej sprawie opinię publiczną w Austryi. Czyni ona to już od lat wielu, ale szczególnie jaskrawo rzecz ta występuje obecnie. Prasie tej idzie głównie o to, ażeby kandydat masoneryi Wekerle pozyskał zaufanie Cesarza i otrzymał misyę zaprowadzenia ładu na Węgrzech, usiłuje więc ona tak przedstawić sytuacyę, ażeby czytelnik z nikąd nie dopatrywał się ratunku, jak tylko od Wekerlego. Przesadzają się więc dzienniki wiedeńskie w efektownem malowaniu możliwych rozpaczliwych następstw przesilenia. Zacytowawszy taki liryczny ustęp *N. Fr. Presse:*

„Nigdzie nie widać promyka nadziei. Na każdym kroku widzimy zafrasowane twarze, a na pytanie rozpaczających, słyszymy odpowiedź Fausta: „Widzimy, że nic widzieć nie możemy“...

pisze korespondent *Czasu*:

„Inny znów okolicznościowy poeta widzi już dzień, w którym Węgrzy zostaną bez budżetu i rekruta, urzędnicy z rozpaczą w wygłodzonych twarzach, żebrząc przeciągać będą ulicami, wojsko zostanie bez żołdu i chleba. Jeszcze inny zaczerpnął natchnienia z innego zdroju. Ktoś słyszał, jak ktoś opowiadał, że ktoś trzeci słyszał, że hr. Tisza twierdził, iż obecny zatarg sprowadzi walkę na szubienice i ołów!

A potem ilekroć zdaje się, że upragniony przez te dzienniki gabinet może być urzeczywistniony, przedstawiają one rzecz tak, że opozycya właściwie już „mięknie“, że w jej szeregach zaczyna się dezercya — i byle znalazł się mąż opatrznościowy, którym jest naturalnie p. Wekerle, wszystko będzie w porządku.

Bałamucenie takie opinii łatwem zwłaszcza jest w Wiedniu, gdzie prasa od wielu lat przygotowała sobie grunt do tego.

Prasa wiedeńska — czytamy w *Czasie* — tak skąpa w uznaniu dla polityków austryackich, narzuciła nam w ciągu lat tylu „geniuszów“ węgierskich, że każde przytoczone nazwisko staje się wyrocznią. Przeciętny czytelnik niemiecki w Austryi wie, że Koloman Szell jest jednym z najgenialszych polityków świata, hr. Tisza (mimo brzydkiej sprawy z naftą rumuńską) Katonem cnoty, dr. Wekerle wcieleniem wiedzy w polityce, a przytem tak prawym i surowym, że właściwie mówić się powinno o Katonie, że był rzymskim Weker lem, p. Lukacs jest geniuszem finansowym, hr. Aponyi, gdyby nie był Hamletem, byłby co najmniej Cavourem i zrobiłby z Węgier Piemont, który przyciągnął i zjednoczyłby całą Europę pod koroną św. Szczepana itd. itd. Gloryfikacya polityków węgierskich idzie tak daleko, że pewien blask spada nawet na opozycyę, a p. Gero Talony uchodzić może w Austryi za dżentelmana. Uchodziłby za takiego nawet Dienes, gdyby nie był uciekł, a w Węgrzech... *nil bene de fugitivis*. Metoda była tem skuteczniejszą, ile że „geniuszom“ węgierskim przeciwstawiano w najlepszym razie „miernoty“ austryackie. Nawet przy rokowaniach ugodowych, gdzie naszym politykom potrzeba było jak największego poparcia własnej prasy, dzienniki wiedeńskie, chwaląc zdolności tego czy owego ministra, czyniły to w ten sposób, że czytelnik rozumiał, jak daleko temu panu do węgierskich geniuszy. Badeni, Thun, Körber, Biliński, Böhm-Bawerk, wszystko to ot sobie takie biedne miernoty wobec Szellów, Lukacsów i Hieronymich!

Podobnie też przesadza się znaczenie polityków opozycyjnych, ażeby straszyć nimi Austryę, jak dzieci kominiarzem. Niechajno ruszy się Kossut, Barabasz czy Lengyel: zobaczycie, co to będzie. Ziemia zatrzęsie się w posadach. W ten sposób przyzwyczajono Austryę jednych admirować, drugich bać się jak ognia — i w ten sposób przez lata całe dopomagano Węgrom do wyzyskiwania Austryi. Prawdziwy Wiedeńczyk może i tego lub owego austryackiego ministra ceni, ale jego admiracya i uwielbienie płyną zawsze w kierunku jakiegoś Szella, Apponiego lub Wekerlego. Nawet wybryki pewnych polityków węgierskich budzą na gruncie wiedeńskim podziw, jako dowody ich szerokiej natury, kiedy austryacki minister zapłaciłby za nie musiał stanowiskiem.

Niestety i znaczna część polskich dzienników bezmyślnie wszelkie informacye o stosunkach węgierskich czerpie z prasy wiedeńskiej. Stąd więc u nas owa admiracya odbija się, acz słabszem już echem, ale zawsze dość jeszcze donośnie, i stąd płyną mylne przepowiednie na przyszłość. Z tego też jedynie powodu sądzę, że nie zawadzi od czasu do czasu krytyczny rzut oka na mętne źródła, z jakich prasa wiedeńska czerpie swój entuzyazm dla Węgier. Sytuacya może w tem oświetleniu przedstawiać się będzie mniej dramatycznie, ale w zamian o wiele prawdziwiej.

Polowanie na grubego zwierza

w Afryce południowej.

Pod takim tytułem wyszła świeżo w „Bibliotece dzieł wyborowych“, w polskim przekładzie praca Edwarda Foa, słynnego francuskiego badacza krajów podzwrotnikowych i myśliwego, zmarłego przed dwoma laty w sile wieku. Odbył on kilka podróży dokoła Afryki, a całą środkową przeszedł pieszo w poprzek od oceanu Indyjskiego do oceanu Atlantyckiego w przeciągu trzech lat. Wyruszył on na tę wyprawę w towarzystwie dwóch swoich rodaków, którzy jednak trudów tej podróży nie wytrzymali i wrócili się z połowy drogi.

W dziele, o którem mówimy, opowiada autor o swoich przygodach myśliwskich, przyczem podaje bardzo interesujące szczegóły dotyczące życia i obyczajów wielkich zwierząt afrykańskich.

Dla poznania wartości tej książki cytujemy następujący ustęp:

„W okolicy obozowiska naszego, w Tsziromo, zwierzyny nie było wcale. Na przeciwnym zaś lewym brzegu rzeki, rozciągała się duża równina, gdzie mordowano bezlitośnie bawoły. Skończyło się na tem, że rząd zabronił tej bezmyślnej strzelaniny, bo znajdowali się amatorzy sportsmeni, którzy przez jeden ranek kładli trupem siedm do ośmiu bawołów, nie zadając sobie nawet trudu, aby je zabrać lub zakopać, pozostawiając trupy na pastwę sępów i jastrzębi.

Dziś na całej tej równinie polowanie jest wzbronione, a za lat dziesięć powrócą tu słonie i będą żyły jak dawniej.

Aby znaleść grubszą zwierzynę, trzeba się było oddalić na wschód od Tsziromo, to jest do granicy anglo-portugalskiej, gdzie przebywa podobno parę tysięcy bawołów i antylop. Posuwałem się więc w tamtą stronę, aby nareszcie wypróbować mój 303-ci kaliber broni.

Noc spędziłem w Nat'ana, wiosce oddalonej o dziesięć kilometrów od naszego obozu, a nazajutrz rano stado antylop dało mi pole do prób i popisów znacznych; zabójcze skutki broni małego kalibru były zdumiewające, celność nadzwyczajna, szarpnięcie prawie żadne. Za każdym strzałem kładłem zwierza na miejscu. A trzeba wiedzieć, że antylopa Lichtensteina, wzrostu małego konia, nader ruchliwa, jest nadzwyczaj trudna do strzału, stąd też Boerowie dali jej przezwisko *hartebecst*, to znaczy „twarda bestya“.

Później przekonałem się o wadach i zaletach nabojów większego lub mniejszego kalibru mojej strzelby, lecz na ten raz byłem zupełnie zadowolony i ze strzałów i z popisu.

Zdumienie krajowców było niezmierne, gdy po strzałach nie ujrzeli dymu, dla mnie taka broń ma tę wielką zaletę, iż obchodząc zwierzynę, mogę się ukryć i być zupełnie przez nią niespostrzeżonym. Strzał, powtórzony przez echo, zmyli zwierza, a obłok dymu nie zdradzi mej obecności.

Przez parę dni zabiłem kilka antylop, żebr i jednego gnu, tego ostatniego zawdzięczam tylko mej dalekonośnej broni.

Rzecz się tak miała:

W okolicach Nant'ana gnu są rzadkością. Pewnego razu spostrzegłem na niewielkiej polanie w odległości 400 metrów prześliczny okaz gnu. Zwierz dojrzał nas zaraz i patrzył trwożliwie na miejsce, gdzieśmy przypadli w trawę, chcąc się ukryć. Miałem szaloną ochotę spróbować nowej strzelby na tej przepysznej zwierzynie. W mgnieniu oka powziąłem plan podchodu i postanowiłem go wykonać. O jakie 200 metrów od nas rosła kępa drzew; poczekałem chwilę, aż się zwierz uspokoił i zaczął paść na nowo, wtedy, czołgając się zcicha w trawie, posuwałem się wolno do upragnionego celu.

Nie było to robotą łatwą, lecz po wielu trudach dotarłem do najbliższego drzewa.

Dalej iść było niepodobieństwem, trawa wysoka kończyła się i jeszcze krok, a cały manewr byłby stracony, tembardziej, iż zwierzę instynktownie przeczuwając niebezpieczeństwo, zaczęło nasłuchiwać i wietrzyć. Więcej niż 200 metrów dzieliło mnie od niego, bądź co bądź, postanowiłem strzelać. Wolno podnosiłem się z ziemi tuż przy pniu drzewnym, mierząc uważnie z ręką na cynglu, wreszcie wypaliłem.

Strzał padł. Zwierz wierzgnął kilkakrotnie, skoczył w bok i zaczął umykać na prawo w pełnym galopie. Wiedziałem doskonale, że go raniłem, lecz myślałem w pierwszej chwili, że było to tylko lekkie draśnięcie, nie spuszczałem zeń oka, patrząc co będzie dalej; zwierz pomykał ciągle, lecz niebawem zwolnił biegu, zachwiał się i padł. Przez chwilę widać było jeszcze drgające nogi ponad trawą, a potem wszystko znikło.

Gdyśmy przybyli na miejsce, zwierz leżał martwy, kula przeszyła mu serce, na zewnątrz widać było tylko maleńki otwór od kuli.

W jakiś czas później zorganizowałem małą wycieczkę na ziemiach portugalskich wokoło góry Tsziperoni, o pięć czy sześć dni drogi oddalonej na południowy-wschód od naszego obozu.

Zarośla w tej okolicy były gęste, wprost nie do przebycia, co dziwniejsza, bo zwykle w tej porze roku roślinność bywa tu dużo słabsza i mniej wybujała.

Odnaleźliśmy wiele trupów zwierzęcych, między innymi tropy pewnego rodzaju antylopy, które po raz pierwszy zauważyłem na północy Zambezu. Słonie widocznie też tędy przechodziły, ale dawniej, bo tropy były nieco zatarte. Nosorożce również zamieszkiwały te okolice, a raz nawet znaleźliśmy się dość blizko jednego z nich; jak najwyraźniej słychać było sapanie i chrzęst łamanych gałęzi, roślinność jednak w tem miejscu jest tak gęsta, że dojrzeć zwierza było prawdziwem niepodobieństwem. Po parogodzinnej pogoni wróciliśmy z niczem. Wogóle ta cała portugalska wyprawa nie przyniosła nam oczekiwanych korzyści.

Stanowczo okolice naszego obozu nie mogły zadowolnić najmniej wybrednego strzelca, może pierwsze ulewne deszcze sprowadzą zwierzynę na północno-zachód od Tsziromo, a tylko dwa tygodnie dzieliło nas od chwili, gdy otworzą się upusty niebieskie i deszcz nas będzie raził przez całe cztery miesiące.

Tymczasem, skracając sobie długie chwile oczekiwania, polowałem nad brzegami rzeki Sziry na hippopotamy, albowiem do mojej kolekcyi potrzebna mi była jeszcze całkowita czaszka zwierzęca, gdyż dotychczas posiadałem tylko, jako jedyny okaz, szczękę. I tym razem jednak nie udało mi się zdobyć tego, czego szukałem, jakkolwiek hippopotamów była moc niezwykła przy ujściu rzeki Suo do Szire. Wszystkie jednak, które upolowałem, były niezdatne, jedne za młode, drugie za stare i wskutek wieku zęby miały uszkodzone. Przez kilka dni pobytu nad brzegami rzeki towarzysze moi zabawiali się strzelaniną do krokodylów, zabili ich też kilkanascie.

Dnia pewnego, gdyśmy spożywali śniadanie, dano nam znać, iż świeżo upolowany krokodyl ma człowieka w brzuchu.

Nadbiegliśmy co rychlej i przekonaliśmy się naocznie, że pogłoska nie była kłamliwą. Z brzucha zwierzęcia wyjęto rękę, nogę aż do uda i parę żeber ludzkich. Ciało było mało nadpsute, ale skóra zmieniła już kolor pod działaniem kwasów żołądkowych. Dałem rozkaz, aby pogrzebano te szczątki, lecz nikt nie chciał tego uczynić, kazałem więc wszystko wrzucić napowrót do rzeki.

Członki ludzkie popłynęły na fali wodnej, a majtkowie jednego ze statków wojennych, spostrzegłszy je, puścili pogłoskę, iż widzieli ręce białego, płynące w dół rzeki; wiadomość ta narobiła wielkiego rumoru w okolicy.

Nazajutrz upolowaliśmy innego krokodyla, który zawierał resztę członków nieszczęśliwego człowieka, mianowicie głowę i łopatki.

To odkrycie nauczyło mnie, aby zawsze rozpruwać upolowane krokodyle, czego nigdy przedtem nie robiłem, tym sposobem znajdowałem nieraz najdziwaczniejsze rzeczy. Raz naprzykład pół skóry koziej, zwiniętej w kłębek, to znów ogromną chustę czerwoną i t. p. W jakieś dwa lata później w jeziorze Nyassa zabito olbrzymiego krokodyla, długości sześciu metrów i wyjęto z jego wnętrzności dwadzieścia cztery mosiężne bransoletki, oraz pęk włosów wełnistych, kędzierzawych.

Nieszczęśliwy krokodyl nie mógł strawić najozdobniejszych części tualety elegantki murzyńskiej, do której zapewne te przedmioty należały.

Czytelnik w tej chwili myśli: „I otóż zaczynają się okropności“, jak mówią słowa znanej francuskiej piosenki. Żałuję mocno, ale nic innego o Tsziromo opowiedzieć nie mogę, pobyt nasz tu pod względem łowów i przygód był zupełnie nieudatny, tak, że bez żadnych przygotowań wstępnych przejdziemy do wydarzeń roku następnego.

Luty 1895 roku zastał nas o 400 kilometrów od Szire, w dzikiej okolicy, pełnej wszelakiego zwierza, przenoszę więc czytelnika w zupełnie inne otoczenie.

Zamiast Tsziromo, spalonego przez słońce, gdzie sterczą pokrzywione, suche, bezlistne prawie drzewa, widzimy przed sobą malowniczą krainę, pełną życia i świeżości. Deszcze padają już od trzech miesięcy i trawa dochodzi do dwóch stóp wysokości. Drzewa jedne okrywają się liściem, drugie zaś stoją obciążone owocami; w przestworzach bujają ptaki, śpiewając wesoło. W przerwach między jedną a drugą ulewą ukazuje się nam niebo błękitne i słońce się do nas uśmiecha, wołając: lato! lato!

Do mniejszych przyjemności zaliczyć można nieustanne brodzenie po błocie; w obecnej porze nigdzie miejsca suchego znaleźć nie można, żyjemy w ciągłej wilgoci. Niezliczoną ilość razy dziennie trzeba moknąć, suszyć się i znów moknąć, a wieczorem na uwieńczenie wszystkich przyjemności, kładziemy się spać pod mokre kołdry, wśród fal wodnych. Namioty nasze, pomimo całej niewygody, zdawały nam się doskonałem, upragnionem schroniskiem. Chcąc coś ugotować, trzeba było naprzód zbierać drzewo, suszyć i wtedy dopiero można ogień rozpalić.

Obóz założyliśmy na niewielkim pagórku, pomiędzy dwiema rzekami, co płyną, szemrząc, po piasku, a brzegi ich są ujęte w zwoje ciernistych gałęzi i krzewów. Składa się obóz z czterech większych namiotów, otoczonych kilkunastu szałasami z gałęzi. De Borely, z większemi zapasami i ładunkiem, znajdował się o jakie trzy dni drogi od nas, przy mnie był tylko Bertrand i ze dwudziestu ludzi. Naokół na odległości co najmniej dwudziestu kilometrów, żadnej wioski, ni żadnej ścieżki, ni śladu ludzkiego; ogromny spokój natury.

Ranek. Może najwyżej siódma godzina; ludzie moi siedzą wokoło ognisk, gwarząc zcicha, słońce jasno przyświeca, jakby urągając deszczowi, który nam dotychczas przeszkadzał w zwiedzaniu okolicy. Powoli i bez żadnego hałasu wyruszamy na łowy.

Już od dwóch dni coś „pachnie w powietrzu słoniem“, przedwczoraj znaleźliśmy tropy jego, a wczoraj wieczorem znów drugie, świeże. Dzieje się to dlatego, że okolica jest gęsto zarośnięta drzewami pewnego gatunku „Fula“, o owocach podobnych do dzikich migdałów, pokrytych wonną łupiną, które słonie pasyami lubią.

Drzewa Fula dochodzą do znacznej wysokości i grubości, tak, że słonie potrząsać niemi nie mogą, lecz muszą czekać cierpliwie, aż owoce opadną. Prawdopodobnie zwierzęta obchodziły drzewa w całej okolicy, a nie znalazłszy nic dojrzałego, powiedziały sobie: „Wrócimy tu za tydzień“. Tego powrotu właśnie oczekujemy niecierpliwie.

Tambarika łazi po północnej stronie z sześcioma ludźmi i szuka tropów, my wyruszamy ku południowi; o trzeciej po południu schodzimy się w obozie, lecz jak zwykle, bez żadnych rezultatów poszukiwania tak z jego, jak i z mojej strony. Tymczasem kucharzowi coraz to braknie mięsa i natarczywie dopomina się o nowy zapas.

Niedaleko stąd widzieliśmy świeże tropy bawołów, ryzykujemy więc jeden wystrzał, choć i to jest wiele, bo nawet dalekie echo wystrzału może spłoszyć słonie.

Ale co było robić? Czyż lepiej głód cierpieć? Nie. Wyruszamy więc na bawoły.

Po półgodzinnej drodze znajdujemy je pasące się spokojnie na pagórku, pokrytym wysoką trawą; otaczamy go, zbliżając się na jakie sto metrów i widzimy całe stado jak na dłoni.

Jest ich blisko piętnaście sztuk, między nimi trzy samce; jeden szczególnie przepyszny, przechadza się wolno, unosząc na grzbiecie całe stadko ptaków, co oczyszczają mu sierść. Rzecz dziwna, że ptaki nie zdradziły dotychczas naszej obecności, zwykle zrywają się z głośną wrzawą i ostrzegają zwierzę o niebezpieczeństwie.

Przepyszny samiec jest odemnie za daleko, aby do niego strzelać, biorę więc na cel najbliższego i pakuję mu kulę pod łopatkę. Na huk strzału całe stadko rozprasza się, a razem z niem umyka i mój raniony. Puszczamy się w pogoń poprzez gęste zarośla, za tropem i śladem krwi i natrafiamy wkrótce na konającego zwierza. Aby nie robić hałasu wystrzałem, dobijamy go kawałkiem jakiegoś drzewa.

Jakież przepyszne bawole rogi zdobyłem! Szkoda tylko, że większy samiec umknął cało, bo tamte rogi mogły służyć za okaz wspaniały. O wpół do siódmej mięso partyami było dostawione do obozu i zaczynaliśmy naszą ucztę wieczorną.

Około północy lwy nas raczą prześlicznym koncertem, wkrótce zaś odgłosy i wycia cichną. Wszyscy drzemiemy, gdy naraz budzi nas okrzyk: Latumbui! Latumbui! To mrówki mięsożerne zalewają nasz obóz, krocząc zwartemi szeregami; widocznie przyciągnęły je odpadki żywności i zapach krwi. Wszyscy się zrywają, podsycają ogniska i płonącemi żagwiami wypędzają nieprzyjaciela. Ja czułem się zmęczony mocno, więc w walce nie brałem udziału, kazałem tylko zapalić ogniska po czterech rogach mego obozowego łóżka i zasnąłem spokojnie. Latambui atakują zwykle dwa razy, lecz jeżeli są odparte ze znacznemi stratami, cofają się lub idą dalej.

Dzień następny przechodzi bez żadnego ważniejszego wypadku, oddział poszukujący wraca w towarzystwie dwóch krajowców, którzy mi przynoszą ważną wiadomość od wodza wsi pobliskiej. Okazuje się, że dwa dni temu lew pożarł jakąś starą kobietę, a wczorajszej nocy krążył jeszcze po okolicy. Krajowcy wiedzą dobrze, że za każdą wiadomość o grubszym zwierzu dostają odemnie nagrodę, dlatego też wysłańcy tak śpiesznie do nas przybyli.

Zaraz też ruszamy w dalszą drogę i po czterogodzinnym nużącym pochodzie docieramy do wioski. I to u krajowców nazywa się „bliziutko“ (pafui), ładne mi pafui! Noc szybko zapada i sam niewiem doprawdy, co w tych ciemnościach egipskich będzie można robić, najlepiej chyba doczekać się rana, a potem działać. Rozkazałem tylko ludziom, aby z chat tej nocy nie wychodzili wcale; jutro może znajdziemy trop świeży, dziś na wycieczkę zapóźno.

Niedaleko stąd, w drugiej wsi, tańczą od pierwszej po północy, przy dźwiękach tamtamu, przypuszczam, że ta kocia muzyka odstraszy naszego ludożercę. Nie mam więc nic lepszego do roboty jak położyć się spać, w ubraniu naturalnie.

Około czwartej zrana budzą nas liczne okrzyki i gwar, pochodzący ze wsi, gdzie tańczono. Wyskakuję czemprędzej z chaty ze strzelbą w ręku, zwołuję moich ludzi — i podążamy naprzeciw głosów. W tej chwili jakaś kobieta, na w pół obłąkana, rzuca się do nóg moich z okrzykami, iż syna jej lew pożarł.

W ciemnościach, kierując się tylko światłami gorejących wici słomianych, biegniemy co tchu do wioski. Na miejscu dowiadujemy się, iż lew porwał nieszczęśliwego chłopca w chwili, gdy na w pół z chaty wychylony, brał wiązkę drzewa.

Krajowcy wszyscy są równie nieopatrzni, nie zdają sobie jasno sprawy z niebezpieczeństwa. Ileż to razy widziałam kąpiących się murzynów w tem samem miejscu, gdzie parę dni przedtem jeden z ich towarzyszów był pożarty przez krokodyla.

Ale nie czas na rozmyślania. Działajmy. Rozumie się, że pośród dzikich okrzyków ludności lew nie myślał zatrzymywać się we wsi, a przy blasku łuczywa śladów znaleść niepodobna.

Trzeba czekać. Zasiadamy z krajowcami w około ogniska i czekamy, ogłuszeni przeraźliwymi lamentacyami kobiet. Dnieć zaczyna, zbieram więc około dziewięciu czarnych, którzy mi będą towarzyszyli, zachowując milczenie głębokie.

Jak tylko się dosyć rozwidniło, aby módz śladować za tropem, idziemy do chaty, gdzie dziecko było porwane, ale ludzie chodząc, zatarli wszelkie ślady. Na werandce, co otacza lepiankę, dostrzegamy nareszcie ślad pazurów drapieżnika; po małej chwili odnajdujemy trop za chatą, co świadczy, że zwierz ją okrążył. Tuż obok ślad dziecięcej stopy, lew więc widocznie schwycił dziecko za górną część tułowia. Dalej znajdujemy coraz częściej krople krwi i ślady; zwierz posuwał się ku rzece jedną z ulic wioski około chat, mieszkańcy widocznie spali, okrzyki zbudziły ich później. Dochodzimy wreszcie nad brzeg rzeki, gdzie lew złożył ofiarę, a sam odpoczywał, świadczy o tem mała kałuża krwi skrzepłej. Poczem przeszedł rzekę na stopę głębokości i biegł brzegiem w dół strumienia z pięć metrów, wreszcie zaszył się w krze nadbrzeżne. Zatrzymuję pochód i posyłam Tambarikę dla zbadania, czy nie znajdzie śladów z drugiej strony krzaków, bo może zwierz je opuścił.

Jakoż nie myliłem się, bo po chwili słyszymy gwizd przeciągły, nasz znak umówiony, puszczamy się ukośną ścieżką, aby prędzej przybyć na miejsce. W trawie natrafiamy na nową kałużę krwi i nakoniec wychodzimy na niewielką polankę, gdzie zatrzymujemy się dla chwilowego wytchnienia. Wreszcie ruszamy dalej, w ciągłej pogoni przechodzimy las, gdzie znajdujemy nowe ślady krwi i przepaskę z muszli, którą biedny malec nosił na biodrach, oraz kawał szmaty, na gałęzi krzaka zaczepionej. Wielka kałuża krwi skrzepłej wskazuje miejsce, gdzie zwierz zaczął rozszarpywać swą ofiarę, ale to już z godzinę temu. Wreszcie na przeciwnym brzegu lasu pogrążamy się w wysoką trawę, gdy nagle złowrogie mruczeczenie przykuwa nas do miejsca. Nadsłuchujemy. Nieprzyjaciel jest tuż! Czy będzie atakować? Po chwili mruczenie cichnie. Zbieram ludzi moich i wysyłam na zwiady, sam zaś, z ręką na cynglu zagłębiam się w trawę, a wytężając wzrok przed siebie i nadsłuchując, posuwam się bez żadnego szelestu.

O dziesięć metrów przedemną słychać chrzęst trawy i głowy czarnych, wynurzające się z zieloności i nic więcej. Idziemy wolno naprzód.

Ach, otóż i drzewo! Daję znak Kambombie, chłopiec w mgnieniu oka wdrapuje się na sam wierzchołek i patrzy:

— Dziecko jest tutaj — objaśnia nas głosem stłumionym — ale lwa nie ma. Ach! otóż i on na lewo, prędko, prędko, tędy!

Biegnę we wskazanym kierunku, dając znaki murzynom ze wsi, aby szli za nami i ruchem ręki nakazuję, aby okrążyli polankę i zajęli lewą stronę. Posyłam wreszcie Rodzaniego, niech im każe hałasować i napędzać zwierza w naszą stronę. Ja zaś staję nieruchomy na stanowisku, wzrok i słuch wytężając w stronę, gdzie nieprzyjaciel ma się ukazać. Czekam...

Kambombe, śledząc z drzewa, daje mi objaśnienia:

— Umyka, nie, wraca tędy... Baczność, zmierza w tę stronę... leci, przejdzie przez stanowisko... Ach żeby pan był tutaj!... Jak ja go dobrze widzę!... Obraca się... idzie, idzie... odsuńcie się trochę, odsuńcie.

Można sobie wyobrazić, z jakim niepokojem wsłuchiwałem się w te urywane słowa. Cofam się więc o dwa kroki, ludzie moi są za mną. Rzucam im tylko rozkaz:

— Nie strzelać, chyba tylko w ostateczności.

— Niech się pan nie gorączkuje — szepcze Tambarika.

Trawy poruszane kołyszą się, rozchylają... i przepyszny lew wychodzi naprzeciw mnie o jakie ośm metrów i zbliża się szybko, niepokojony przez głosy krajowców. Nagle zatrzymuje się; spostrzegł mnie; wyszczerzył zęby, przysiadł, stulił uszy i ogon wyprężył, gotując się do skoku. Korzystam z chwili, w mgnieniu oka poruszyłem cyngiel i pakuję mu kulę w kark. Lew zachwiał się, przysiadł i... powalił bez ruchu.

Strzał był śliczny. Liczyłem zawsze na celność mego 303-go kalibru broni. Później stosowałem jeszcze kilkakrotnie ten rodzaj strzału, zawsze z dobrym skutkiem. Należy tylko trafić w miejsce, gdzie szyja się kończy, a zaczynają kręgi, a padnie na miejscu, jak gromem rażony. Uprzedzam jednak, że wszystkie karabiny górują, a karabin Metforda więcej od innych; jeżeli więc strzela się zbliska, tak, jak ja tym razem, trzeba mierzyć dużo niżej, aby trafić celnie. Na odległość zaś 120 metrów karabiny już nie górują.

Lew, którego przed chwilą uśmierciłem, jest mocno stary, wzrostu średniego, odznacza się niezwykłą chudością. Porwane przezeń dziecko liczyło najwyżej lat czternaście; śmierć jego musiała nastąpić zaraz po porwaniu, gdyż lwy nie unoszą nigdy ofiar żyjących, chyba gdy są ścigane, lecz nasz lew miał dosyć czasu do zabicia swej zdobyczy. Matka dziecka usłyszawszy krzyk, domyśliła się strasznej prawdy, lecz zgroza i strach odjęły jej wszelką władzę; gdy wróciła do przytomności, wybiegła z chaty, lecz dziecka już nigdzie nie było, zbudziła okrzykami ludność wioski, wszystko zapóźno, lew musiał unieść swą zdobycz daleko.

Przenieśliśmy na noszach obydwie ofiary nocnego dramatu. Na ciele dziecka widniały liczne ślady zębów drapieżnika, zwłaszcza szyja, prawa noga i ramię były mocno pokaleczone, aż do kości.

Skoro lew, niesiony przez ośmiu ludzi na drągu, ukazał się w wiosce, cała ludność rzuciła się na niego uzbrojona w noże, włócznie i sagaty. Istnieje tu bowiem zwyczaj, aby w podobnych razach zemstę wywierać na trupie zwierzęcym i póty kaleczą nieszczęsną ofiarę strzałami i nożami, aż stanie się podobną do jednej krwawej masy. Ten sposób oporządzania moich trofeów myśliwskich niezbyt mi przypadł do gustu. Po wielu usiłowaniach, ledwo zdołałem wytłómaczyć krajowcom, że zabiłem im tę dziką bestyę, lecz w zamian żądam od nich tylko skóry z głową i pazurami, resztę zaś oddam im na pastwę.

Nie omieszkałem dodać, że pierwszy, kto się przedtem ośmieli dotknąć lwa, zawrze bliższą znajomość z moją laską. To podziałało uspokajająco, cała ludność zasiadła w około, czekając cierpliwie, aż Tszigallo, przy pomocy Rodzaniego i Msiambirego zdejmą skórę. Potem dopiero rzucili się na krwawego trupa i kaleczyli straszliwie nożami i włóczniami, ciągnąc za sobą bezkształtną masę bez nóg i głowy przez wszystkie wsie okoliczne. Nieszczęsny lew podobny był raczej do wołu, poćwiartowanego przez rzeźnika, aniżeli do króla puszczy.

Następnie przy głośnym płaczu kobiet, złorzeczeniach i dzikich pogrzebowych tańcach, spalono go na stosie.

Byliśmy już w połowie drogi do naszego obozowiska, a jeszcze dochodziły nas odgłosy dzikich okrzyków i monotonnych dźwięków tam-tamu. Mrok wieczorny rozświetlała łuna palącego się stosu.

Noc już zapadła, gdy wróciliśmy do obozu. Nad nami jaśniało niebo milionami gwiazd, wokoło cisza i spokój ogromny. Rozmyślałem wiele o wrażeniach dnia i o tej biednej murzynce ze wsi, tej matce, co cierpi po śmierci jedynego dziecka.

I przyszło mi na myśl, ileż to codziennie we wszechświecie istnieje takich bólów nieznanych.... ileż łez tajonych....

KRONIKA.

Lwów 10 września.

Przyjazd Cesarza do Galicyi. Wczoraj wieczorem powrócił Cesarz z Budapesztu do Wiednia i udał się wprost do Schönbrunnu. Dziś rano był obecnym na *requiem* w kaplicy dworskiej, z powodu rocznicy zgonu cesarzowej, poczem udał się do grobów OO. Kapucynów i modlił się u grobowca swej żony, w sobotę po południu wyjeżdża Cesarz do Lwowa.

Jutro po południu przyjeżdża do Komarna na pole manewrów szef sztabu generalnego gen. Beck ze świtą, wprost z pola manewrów na Węgrzech. W sobotę zaś przybędzie tam arcyksiążę Franciszek Ferdynand. W samem Komarnie prace na przyjęcie Cesarza odbywają się z wielkim pośpiechem. Miejscowość, w której zamieszka Cesarz, to wieś Chłopy, oddalona od Komarna o jeden kilometr. Pałacyk cesarski umieszczony jest w prześlicznym parku hr. Karola Lanckorońskiego. Pokoje cesarskie umeblowane w stylu japońskim. Nad łóżkiem wisi obraz Madonny; Cesarz, będąc dzieckiem, modlił się zawsze przed tym obrazem i dziwnym zbiegiem okoliczności dostał się ten obraz do Lanckorońskich i tu go umieszczono. Zdziwienie Cesarza na widok tego obrazu będzie prawdopodobnie niemałe.

We Lwowie czynią się także energicznie przygotowania dla godnego przyjęcia Cesarza. Od kilku dni prawie bez przerwy pracuje komisya, wybrana z łona Rady miejskiej pod przewodnictwem p. Rydla nad programem tego przyjęcia. Ustalono już listę naczelników straży obywatelskiej, których będzie 30, a każdy z nich będzie miał pod sobą

50 członków straży. Przyjazd Cesarza do Lwowa nastąpi w niedzielę o godzinie 9-tej 26 min. (czas lwowski). Na dworcu oczekiwać go będzie namiestnik hr. Potocki, marszałek hr. Badeni, gen. komendant Fiedler, prez. Małachowski i inni, a oprócz tego kompania honorowa piechoty. Cesarz przejeżdżać będzie ulicami: Gródecką, Leona Sapiehy, Szeptyckich, pl. św. Jura, Mickiewicza, Marszałkowską, Trzeciego Maja, Jagiellońską, Karola Ludwika, pl. Maryackim, ul. Teatralną do katedry. Wzdłuż tych ulic ustawiona będzie dziatwa szkolna, tak gimnazyalna, jak i szkół ludowych obojej płci. Przed katedrą od sklepu Bardasza do Rydla ustawione będą korporacye rękodzielnicze, zaś przed głównem wejściem do katedry ustawi się Rada miejska. Szpaler w kościele od wejścia do presbyteryum utworzy straż ochotnicza ogniowa, przed nią zaś stanie szpalery dziewczątek w bieli (z każdej szkoły po dziesięć dziewcząt), które będą sypały Cesarzowi kwiaty pod nogi. — W kościele odprawi X. arcyb. Bilczewski cichą mszę św., po czem nastąpi odjazd do pałacu namiestnikowskiego. Tu przedstawią się Cesarzowi szambelanowie, tajni radzcy i inni dygnitarze dworscy, duchowieństwo, korpus oficerski, Wydział krajowy, Rada miejska i inne władze rządowe i autonomiczne. Przyjmie też Cesarz deputacyę ziemian, którą prowadzić będzie książę biskup krakowski kardynał Puzyna. O godzinie 12 minut 36 odjazd ze Lwowa temi samemi ulicami. Namiestnik odprowadzi Cesarza do Chłopów.

Nakoniec nadmienić musimy, że wciąż jeszcze, wśród publiczności, krążą pogłoski, jakoby na manewry pod Komarnem miał przybyć nie Cesarz, ale następca tronu arcyks. Ferdynand. Pogłoski te znajdują odzwierciedlenie w tem, że na poniedziałek 14 b. m. zwołano Sejmu, a więc, że namiestnik hr. Potocki nie będzie mógł udać się na pole manewrów celem towarzyszenia Monarsze. Tymczasem, jak się dowiadujemy, ułożono rzecz w ten sposób, że hr. Potocki pojedzie w niedzielę w południe wraz z Cesarzem do Komarna, w poniedziałek rano na otwarcie Sejmu powróci do Lwowa, a po południu odjedzie znowu do kwatery cesarskiej, gdzie pozostanie aż do odjazdu Monarchy.

Wiadomości urzędowe. Cesarz nadał wicekonsulowi drowi Remi Kwiatkowskiemu tytuł konsula i powierzył mu kierownictwo konsulatu w Prizrend (w Macedonii). Cesarz nadał głównemu nauczycielowi seminaryum nauczycielskiego męskiego w Krakowie, Antoniemu Żukowskiemu, przy sposobności przeniesienia na własną prośbę w stan spoczynku tytuł radzcy szkolnego.

Naczelnictwo Komitetu organizacyjnego straży obywatelskiej uprasza uprzejmie wszystkich Komendantów poszczególnych oddziałów straży obywatelskiej, ażeby celem uniknięcia nieporządków i nieporozumień podczas przyjazdu Najjaśniejszego Pana, żądali od każdego członka straży obywatelskiej oprócz odznaki, jaką każdy członek otrzymał, wykazania się legitymacyą, na której uwidoczniony jest oddział i stanowisko każdego członka straży do którego należy. Tym sposobem Komitet spodziewa się uniknąć nieporządków, ewentualnie samowolnego przenoszenia się członków straży obywatelskiej z jednego stanowiska na drugie. *Riedl, Ciechulski, Getritz, Lang, Sklepiński.*

Odezwa. Celem należytego zastosowania się do programu w przyjęciu Monarchy, Izba rękodzielnicza zaprasza wszystkie korporacye rękodzielnicze ze sztandarami i insygniami ażeby w niedzielę dnia 13 b. m. zebrały się w Ratuszu już o godzinie 7 rano, gdzie ogłoszone zostaną szczegółowe objaśnienia i rozdane odznaki uczestnikom. Wszyscy członkowie korporacyi mają wystąpić w świątecznych ubraniach czarnych. Uprasza się pp. przełożonych o zaproszenie członków swej korporacyi i podanie ich nazwisk Izbie rękodzielniczej.

Prezesem Rady powiatowej mieleckiej wybrany został p. Stefan Sękowski, a zastępcą prezesa Jan hr. Tarnowski.

Wystawa wyrobów przemysłu krajowego w Brzeżanach, którą miano otworzyć w dniu 4-go, zostanie otwartą dopiero 1-go października. Termin nadsyłania okazów przedłużono do 1-go października.

Towarzystwo sztuk pięknych otworzyło w salach swoich przy placu św. Ducha jesienną wystawę dzieł artystów polskich, obejmującą także niektóre pozostałe prace Salonu Okręgowego i nowo nadesłane artystów lwowskich, krakowskich i warszawskich, a mianowicie: Z pozostałych prac Salonu okręgowego wystawiono wspaniałe portrety Augustynowicza „Portret pani S.“, portret żony i portrety dzieci artysty“; Malachowskiego „Łodzie“; Wygrzywalskiego „Memento vivere“; Reyznera „Staruszki“; Sozańskiego „Motyw z Podola“; z nadesłanych zaś prac: Andrychiewicza „Portret własny“, „Fałszywe blaski“ (plafon), „Do świata“, „Nad Sekwaną“; Chełmińskiego „Na biwaku“ i „Ks. Józef Poniatowski“; Gramatyki „Stary tartak“ i „Krajobraz“; Pociechy „Las“, „Wieczorem“ i „Brzozy“; Klepińskiego „Hucuł“ i „Pasterz“. Heina „Po zachodzie słońca“ i „Na pastwisku“. Skwirczyńskiego „Studyum“ i „Krajobraz“. Piotrowskiego Mieczysława „Skały“, „Śnieżyca“, „Sosny“, „Aleja“. Batowskiego „Latarnik“. Reyznera „Wiosna“, „Wspomnienie“, „Las“ i „Oczekiwanie.“ Pająkowej „Bzy“, „Tulipany“. Szernera „Rycerz“ i „Na wywiady“. Beera „Gewont“. Perdzyńskiego „Polowanie“. Sozańskiego „Na pastwisku“. Tondosa „Kościół Maryacki“. Holzmüllera „Akwarele“, „Chaty“, „Na manewrach“, „Przed stajnią“, „Amazonka“, „Krakowianka“. Szczepańskiego „Studya pejzażowe“. Olesińskiego „Kowal.“ Wystawa otwarta codziennie od godziny 10-ej rano do 6-ej wieczór bez przerwy. Wstęp dla członków wolny.

W sprawie katedry biskupiej obrz. gr. kat. w Stanisławowie donosi *Ruslan* co następuje: Dnia 31 zm. odbył się w Stanisławowie pogrzeb xiędza kanonika Tkaczuryka, członka gr. kat. kapituły, na który przybył X. metropolita Szeptycki. Po pogrzebie odbyły się dwa obiady, jeden dla X. metropolity w pałacu i X. Mitrata Faciewicza, drugi w pałacu dla duchowieństwa, gdzie znaleźli się także znani moskalofile dr. Dudykiewicz, adwokat z Kołomyi i radzca sądowy p. Proskurnicki.

X. metropolita po spożyciu obiadu odbył cerkiew w pałacu, w którym obiadowali xięża. X. metropolita długo rozmawiał z xiężami i podczas rozmowy oświadczył, „że najdalej za cztery tygodnie będzie ogłoszona nominacya biskupa stanisławowskiego.

Na zapytanie, kto nim zostanie, rzucone przez jednego z xięży, X. metropolita Szeptycki oświadczył, iż powiedzieć tego nie może, ale w formie żartobliwej dodał: „Kandydatów może mieć biskupstwo. Na to oświadczył X. Barysz z Ubrynowa: „gdyby to od nas zależało, pragnęlibyśmy jednogłośnie o. Filasa“. Wówczas znany moskalofil dr. Dudykiewicz, adwokat z Kołomyi i radzca sądowy Proskurnicki, zaczęli składać wspólnie znawców swych zasad, aby protestować przeciwko temu, co powiedział w imieniu kleru „taki“ X. Barysz. Następnie zbliżył się do X. metropolity, X. Hlibowicki, dziekan kołomyjski i oświadczył się w imieniu 2 części duchowieństwa przeciwko powołaniu o. Filasa na godność biskupią, „bo my nie mamy zaufania do mnichów.“ Wskutek tego, w obecności X. metropolity wywiązała się mała, nieprzyjemna kontrowersya kleru dyecezyalnego. Znaczące oddalenie się X. metropolity Szeptyckiego, położyło dopiero kres sporom.

Car w Królestwie. Z Warszawy nadchodzi wiadomość, że na manewry, które się odbędą w Królestwie w powiecie włodawskim przyjedzie car i zamieszka we Włodawie. Podobno w Sterdyni, majątku p. Ludwika Górskiego, zebrało się okoliczne obywatelstwo, celem zastanowienia się nad tem, jak przyjąć cara, i miano uchwalić wręczenie mu adresu z wyrażeniem podziękowania za ukaz o nauczaniu religii w języku polskim i ofiarowanie 200.000 rubli na rzecz powodzian.

† **Śp. Jan Trzaska Szwejkowski,** emerytowany szef Towarzystwa wzajemnych ubezp. sekcyi lwowskiej, radny miasta Lwowa, żołnierz r. 1863, zmarł 9 b. m. w Brixen w Tyrolu, po bardzo długich cierpieniach. Śp. zmarły cieszył się wielką popularnością i sympatyą w szerokich obywatelskich kołach naszego miasta, od lat 10 zasiadał w Radzie miejskiej. Ożeniony z p. Antoniną Sławikowską, córką śp. dziekana uniwersytetu Jagiellońskiego, pozostawił jedyną córkę zamężną za drem Tadeuszem Rittnerem, wybitnym publicystą, synem ministra. R. i. p.

Doskonałą anekdotę opowiadają osoby przybyłe z Rosyi. Rzecz się tak miała: Minister spraw wewnętrznych w Rosyi Plehve wpadł na pomysł paraliżowania ruchów robotniczych przez utworzenie kontrpartyi robotniczej, pozostającej pod protektoratem rządu. W tym celu ministeryum porozsyłało do wszystkich centrów fabrycznych agitatorów pseudo-socyalistycznych. O jednym z takich agitatorów, żydzie Szajewiczu, opowiadają co następuje:

Policya kijowska przyłapała Szajewicza na gorącym uczynku agitacyi. Aresztowano go. Szajewicz wykazuje się „bumagami“, tj. papierami z podpisem Plehvego. Sprawa dochodzi do jenerał-gubernatora Dragomirowa. Dragomirow sprawdza autentyczność podpisu i nie wiedząc, co ma czynić, wysyła do Plevego taki dowcipny telegram: „Schwyciłem Szajewicza. — Co znaczy „bumaga“; czy ja go mam aresztować, czy on mnie? Dragomirow“

Z powodu wygaśnięcia szkarlatyny we Lwowie wydano rozporządzenie, aby zamknąć baraki, do których przyjmowano dzieci dotknięte chorobą.

Pocwięcenie kościoła. Przed kilku dniami dokonał X. Fiszer, biskup-sufragan z Przemyśla, obrzędu konsekracyi kaplicy w Laszkach murowanych i poświęcenia dzwonów przy licznym udziale duchowieństwa obu obrządków, okolicznego i wiernych z sąsiednich parafij, następnie odprawił mszę św. pontyfikalną, wśród której wygłosił podniosłe kazanie X. Watulewicz, proboszcz w Fulsztynie. Po nabożeństwie podejmował Ignacy hr. Krasicki X. biskupa i zaproszonych gości ze staropolską gościnnością w starodawnym zamku tamtejszym.

Trupa pani Leblanc-Maeterlinckowej, ma zamiar przybyć dz Lwowa i dać dwa przedstawienia, dnia 9 10 grudnia b. r. Odegrane będą sztuki Maeterlincka, nieznane jeszcze we Lwowie. Dnia 11 bm. trupa ta da przedstawienia w Krakowie.

Podziękowanie. Dnia 6 b. m. około godziny 5-tej po południu wybuchł pożar na gumnie Izraela Hatnera, właściciela Olszowca, z niewiadomej na razie przyczyny. Ogień rozpoczął się od szczytu sterty. Dzięki energicznej interwencyi bawiącemu naówczas w Olchowcu dyrektorowi magazynów tytoniowych z Barszczowa p. Zygmuntowi Jaklińskiemu, naczelnikowi sądu mielnickiego p. Bronisławowi Machnowskiemu, jakoteż czynnej a energicznej pomocy hrabiny Władysławowej Borkowskiej, hrabianki Jadwigi Borkowskiej, hr. Juliana Borkowskiego z Mielnicy, jakoteż hr. Józefowi Koziebrodzkiemu z Dźwiniaczki udało się rozszalały żywioł zlokalizować. Ogień trwa jeszcze, ale na razie niebezpieczeństwo nie grozi gminie. Spłonęła szopa i 16 stert zboża. Szkoda asekurowana blisko na sumę 60 000 koron. Gmina na tej drodze składa podziękowanie owym powyżej wymienionym przewodnikom w gaszeniu ognia i zaznacza, z jakim podziwem spoglądali wieśniacy na drobne rączki pań, które pierwsze dały przykład ratowania i z ogromną energią starały się przerwać wstęgę płomienną przez przerywanie płotów itp.

Zwierzchność gminna.

Utonięcie ministra. Jak już donieśliśmy, w Euksynogradzie, na morzu Czarnem, utonął bułgarski minister skarbu, Manuszew. Ministra wezwał wraz z innymi ministrami na naradę do Euksynogradu ks. Ferdynand, pr ebywający tam na letniem mieszkaniu. Zaraz po przybyciu minister udał się do kąpieli w porcie z intendentem dworu, Zlatarskim. Prawdopodobnie schwyciły Manuszewa kurcze, płynąc bowiem, krzyknął głośno o ratunek. Zlatarski pośpieszył natychmiast na pomoc i schwycił ministra, ale odbijająca od brzegu fala uniosła obu na morze. Stojący dotychczas na wybrzeżu inspektor pałacowy, Ankow, rzucił się na ten widok do wody. Udało mu się uratować Zlatarskiego, ale Manuszew znikł w falach. Wkrótce potem fale wyrzuciły jego zwłoki na wybrzeże.

Znany dramat historyczny Wiktoryna Sardou „Madame Sans Gêne“ przerabiają teraz na operetkę. Libretto układa Anglik p. Hamilton, a muzykę kompozytor londyński Ivan Caryll. Przeróbka nosić będzie tytuł „Księżna gdańska“.

W bursie dla dzieci urzędników prywatnych może jeszcze kilku uczni znaleźć umieszczenie za opłatą po 30 koron miesięcznie. Zgłoszenia do Redakcyi *Urzędnika prywatnego* przy ulicy Wronowskiej l. 8, I p. Bursa zapewnia swym wychowankom należytą opiekę i nadzór, czego najlepszym dowodem jest okoliczność, że w roku zeszłym na 25 uczni zaledwie dwóch otrzymało postęp niedostateczny.

Siostry Ojca św. Piusa X, które prowadziły mu były w Wenecyi jego gospodarstwo domowe, przeniosły się w ubiegły poniedziałek na stały pobyt do Rzymu. Na dworcu w Wenecyi chciały one kupić sobie bilety trzeciej klasy do Rzymu, wszelako na rozkaz prefekta oddała im kolej wagon salonowy do dyspozycyi.

Niezwykłe samobójstwo. Dzisiaj około godz. 8 rano odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Adolf Hausser, inżynier ze Stanisławowa, przebywający od paru tygodni w celach kuracyjnych w zakładzie wodoleczniczym Kisielki we Lwowie.

Samobójstwo popełnił on na stawie, w łódce, i w niej też go później znaleziono, leżącego na dnie, ze skronią przestrzeloną. Samobójca liczył lat 31, a targnął się na swoje życie w przystępie silnego zdenerwowania, któremu często podlegał.

Z Krakowa telefonują: W kancelaryi adwokata Szalaya podpisano dziś kontrakty kupna i sprzedaży tutejszego browaru braci Johnów przez Jana Götza-Okocimskiego za kwotę 1 miliona koron. Cena browaru wynosi 800.000 kor., wewnętrznych urządzeń 200.000 kor. Nabywca będzie dalej prowadził browar. Jako konkurenci w nabyciu browaru stawały firmy niemieckie.

O godz. 11 przed poł. odbył się w kościele NPMaryi ślub hrabianki Izabelli Wodzickiej, córki Stanisława i Maryi z Czarnomskich z Augustem hr. Krasickim, właścicielem Liska, synem Ignacego i Elżbiety z hr. Zamojskich. Ślubu udzielił x. kanonik Komorowski z Przeworska, krewny pana młodego. Zjazd spokrewnionych rodzin bardzo liczny.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 15, w poł. + 19 Bar. 769. Spada. Pochmurno.

Przyjaciele.

— Poradź mi co mam zrobić: żenić się z biedną panienką, którą kocham, czy też z bogatą, starą i brzydką wdową?

— Żeń się z miłości, bo prawdziwe uczucie to największy skarb na ziemi.

— Masz racyę, ożenię się z tą biedną.

— Doskonale, a mnie przedstaw wdowie.

Kursa malarstwa i rysunków (dla pań) rozpoczynają się 15 b. m. w pracowni b. prof. artysty-malarza Edwarda Lepszego — ul. Sykstuska 37.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we czwartek po raz 1szy „Kasztelanka,“ sztuka w 4 a. Alfreda Capusa. W piątek „Posłaniec nr. 6666,“ operetka Ziehrera.

Repertuar letniego teatru ludowego przy ul. Kochanowskiego l. 23. W piątek 11 września po raz 1-szy „Quo vadis,“ sztuka w 10 obrazach z powieści H. Sienkiewicza w przeróbce Barreta. Nowe dekoracye i kostyumy. — W sobotę po raz 2gi „Quo vadis“.

Cyrk. Dziś we czwartek o godz. 8 wieczór Wielkie przedstawienie, w którem między innymi wystąpią: kapitan Max Slema i mrs. Alice Slema, celni strzelcy boerscy z Transwaalu. Na zakończenie po raz pierwszy wielka sensacyjna pantomina, osnuta na tle powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis,“ p. t. „Śmierć rzymskiego cesarza Nerona,“ wykonana przez 300 osób i *corps de ballet.*

Literatura i sztuka.

* **Architekt.** Najświeższy numer tego niezwykle starannie i z dużym nakładem kosztów wydawanego w Krakowie miesięcznika fachowego, poświęconego sprawom architektury i przemysłu artystycznego, przynosi za sierpień w dziale literackim dokończenie interesującej pracy o „polskich dworach wiejskich“ i bogatą wiązankę wiadomości fachowych, w dziale zaś ilustracyjnym sześć prześlicznie wykonanych na welinie reprodukcyi dzieł architektonicznych. Jedna z tych reprodukcyi przedstawia projekt kościoła parafialnego w Podgórzu, wykonany przez znanego architektę dr. Sasa-Zubrzyckiego, na resztę zaś tych reprodukcyi składają się fotografie kilku pałacyków i dworów wiejskich, oraz nagrodzone na konkursie Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ projekty szkół wiejskich. Między innemi mamy: projekt architekty Teodora Talowskiego na dwór wiejski Piotra Colonny hr. Czosnowskiego w Oborach; następnie idą cztery projekta domów na szkoły wiejskie, z tych najoryginalniejsze są: Witkiewicza i Bukowskiego, najbrzydsze Wilczyńskiego i Wojtyczki; a wreszcie są dwie fotografie bardzo ładnego pałacyku dra Leona Mańkowskiego w Krakowie. Na innych reprodukcyach mamy widoki dworów w Sobianowicach pod Lublinem i w Ostrówku pod Grodnem, oraz pałacu w Mszanie dolnej, najpiękniejszego z nich wszystkich.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Konstantynopol 10 września. Sprawozdanie Porty o zajściach w Beyrucie, oparte na doniesieniu walego, sprzeczne jest z depeszami, nadeszłemi od konsulów. Według depesz tych, mordowanie chrześcian trwa dalej w różnych częściach miasta. Panuje ogromna panika. Handel i komunikacya zupełnie ustały. Wiele mahometan ucieka w góry Libanonu.

Członkowie tutejszego ciała konsularnego uchwalili domagać się natychmiastowego odwołania walego Reszic-beja, i prosić admirała amerykańskiego o ewentualną pomoc dla obcych poddanych. Amerykańskie okręty wojenne stoją w pogotowiu do walki. Oczekują przybycia innych okrętów wojennych.

Naprężenia stosunków między mahometanami a chrześcianami nie należy uważać za następstwo ruchu macedońskiego. Rządy dotychczasowego walego były bardzo liche. Porta już przed 14 dniami otrzymała niepokojące doniesienia o sytuacyi w Bayrucie. Uspokojenie tego całego ruchu powinna Turcya przeprowadzić jak najprędzej, ponieważ grozi niebezpieczeństwo, że przeniosą się one w głąb kraju do Damaszku, gdzie znajduje się wiele burzliwych żywiołów.

Konstantynopol 10 września. Wszystkie państwa, które mają konsulów w Monastyrze, otrzymały zawiadomienie, że warty w Monastyrze dostały rozkaz oddawania honorów wojskowych konsulom, idącym w towarzystwie kawasów. Porta prosi, aby w razie niewypełnienia tej instrukcyi, konsulowie donosili o tem władzom.

Z wilajetu monastyrskiego donoszą o kilku potyczkach wojsk tureckich z bandami; przeszło 110 członków komitetów poległo.

Konstantynopol 10 września. Wali z Damaszku, Nazim basza, któremu poruczono sprawę przywrócenia porządku i śledztwo w sprawie ostatnich zajść, udał się z 2 batalionami do Beyrutu i uwięził wielu uczestników rozruchów; kilku z nich ma być wygnanych.

Wiedeń 10 września. Arcyksiążę Franciszek Salvator odjechał wczoraj wieczorem do Galicyi na manewry kawaleryi.

Paryż 10 września. Do Agencyi Havasa donoszą z Kairu, że nadeszły tam niepokojące pogłoski o położeniu w Syryi. Beduini, przybyli z Arysz, donoszą, że Druzowie chwytają za broń. Obawiają się rzezi na Libanonie.

Bazylea 10 września. Wczoraj zebrała się tu komisya, wybrana dla sprawy ustawowej ochrony robotników. Przybyło 30 delegatów, między tymi zastępcy rządów Austryi, Belgii, Francyi, Włoch, Luksemburga, Holandyi i Szwajcaryi. Przyjęto wnioski Milleranda i Berlepscha w sprawie zakazu nocnej pracy kobiet. Uchwalono, ażeby Związek międzynarodowy dla ustawowej ochrony robotników uprosił szwajcarską Radę związkową o zwołanie międzynarodowej konferencyi rządów w tej sprawie. Przyjęto wnioski w sprawie lepszej ochrony robotników w zakładach, w których praca jest szkodliwą dla zdrowia, oraz szereg rezolucyi, żądających zawarcia międzynarodowego traktatu w sprawie zakazu używania białego fosforu do fabrykacyi materyałów palnych.

Londyn 10 września. „Biuro Reutera“ donosi, że lord Cranborne-Salisbury złożył godność podsekretarza spraw zagranicznych, gdyż odziedziczywszy tytuł „lorda Salisbury“, przestał należeć do Izby gmin. Miejsce jego obejmie prawdopodobnie dotychczasowy podsekretarz dla spraw indyjskich Percy.

Rzym 10 września. Papież Pius X w piśmie, wystosowanem do kardynałów Wincentego Vanutellego, Rampolli i Yves y Tuto zatwierdził ich, jako mianowanych przez Leona XIII członków komisyi, mającej obmyśleć obchód 50-lecia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu. W tem samem piśmie Papież ogłosił modlitwę do Matki Boskiej z przywiązanym do niej 300-dniowym odpustem.

Tryest 10 września. Proces o oszustwa wyborcze po 3-dniowem trwaniu zakończył się wyrokiem następującym: Z ośmiu głównych oskarżonych zasądzono czterech, a z 5 obwinionych o współwinę skazano dwóch, a to na kary od miesiąca do ośmiu dni aresztu.

Rostow nad Donem 10 września. Sąd wojenny skazał dwóch uczestników zaburzeń z 15 marca br. na śmierć przez powieszenie, a dziesięciu na roboty przymusowe lub więzienie.

Konstantynopol 10 września. Kwarantannę dla proweniencyi z Port Said zniżono na 48 godzin, zaś dla proweniencyi z wybrzeży syryjskich i Aleksandretty kwarantanna wynosić będzie 5 dni.

Kraków 10 września. Wczoraj przed południem wykoleił się pociąg towarowy, idący z Suchej do Krakowa koło stacyi Lenczany. Cztery wagony towarowe przewróciły się i dość znacznie są uszkodzone. Wskutek tego ruch doznał przerwy, a pociągi osobowe do Zakopanego i z Zakopanego kursują przy pomocy przesiedzenia się. Pociąg, który miał przyjść z Zakopanego do Krakowa o godzinie 2½, przyszedł dopiero o 5-tej po południu. Przyczyna wypadku na razie niewiadoma. Nikt z ludzi nie poniósł szwanku.

(Depesze popołudniowe).

Ateny 10 września. Oddział uzbrojonych Albańczyków przekroczył granicę, został jednak zmuszony do cofnięcia się do Tessalii. Wzmocniono straże graniczne.

Belgrad 10 września. Wczoraj około 10 godziny wieczór tłum, złożony z 1000 osób, urządził demonstracyę przeciw dziennikom *Narodni List* i *Veczerne Nowosti*. Powybijano w lokalach redakcyjnych szyby. Redaktorowie, napadnięci przez demonstrantów, strzelali do tłumu z rewolwerów i kilka osób ranili. Żandarmerya rozproszyła tłum.

Wielki Waraždyn 10 września. Z powodu wydanego przez policyę zakazu odbycia zgromadzenia socyalistycznego urządzili socyaliści hałaśliwą demonstracyę i obrzucili policyę kamieniami, dali wreszcie kilka strzałów. 4 policyantów zraniono. Policya rozpędziła wkrótce tłum, nie robiąc użytku z broni. Trzy osoby aresztowano.

Konstantynopol 10 września. Walego z Beyrutu na razie nie zdegradowano, lecz zasuspendowano. Wali z Damaszku otrzymał polecenie przywrócenia spokoju w Beyrucie. Gubernator Libanonu Musafer-basza otrzymał rozkaz udania się na granicę Libanonu. Porta oświadcza, że wybuch dawnych lokalnych zawiści spowodowany był rozgoryczeniem wśród mahometan z powodu przybycia amerykańskich okrętów wojennych. Nadto doniesienia o wypadkach były przesadzone, tak samo i liczba zabitych i rannych. Na razie zapanował spokój, a Porta będzie dbała o stałe utrzymanie porządku.

Królewiec 10 września. Pogłoski o nieszczęśliwych wypadkach podczas manewrów w I korpusie armii są bardzo przesadzone. Wydarzył się tylko jeden wypadek śmierci wskutek kurczów, a dwóch żołnierzy zachorowało z powodu udaru słonecznego.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 10 września. Hr. A. Romer z Wierzbicy. G. Georg-Głogowski i M. Zychoń z Bojaniec. K. Romański z Hrusiatycz. M. Machart z Paryża. Hr. M. Baworowski, H. Helmer, A. Weber i W. Kaprowski z Wiednia. K. Jaroński z Królestwa. H. Goldlust z Baku. K. Bromirski z Faszerówki. O. Zemann z Skołyszyna. St. Orłowski z Odessy. W. Czyżewicz z Warszawy. H. Laska z Krakowa. J. Zającczek K. Rościszewska i Z. Komorowicz z Rosyi. T. Niementowski ze Zbaraża. St. Miłkowski z Zofii.

HOTEL FRANCUSKI.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 10 września. P. Wiktor z Senkowej. S. Zajączkowski z Dobromila. L. Gelberowa z Czernichowa. N. Świechowscy z Radymna. S. Rudnicki z Tarnopola. P. Grodecki z Rosyi. J. Weisser z Sassowa. B. Schwager z Podwołoczysk. A. Gajewski z Romanowa. E. Taborowska z Koszyc. H. Piessen z Krakowa. J. Madeyski z Przemyślan. P. Piskorski z Nastasowa. E. Krzysztofowicz z Załucza. A. Łucyk z Moszkowa. H. Kohanowicz ze Stryja. H. Zukier z Berlina. M. Schuster z Wiednia. W. Winiarski z Berlińca. F. Selwestrowicz z Strzelcza.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 10 września. Br. Christiani z Dembicy. Br. M. Błażowski z Nowosiółki. K. Witocki z Worobijówki. W. Polański z Rudnik. W. Landesberg z Brodów. M. Górecki z Krakowa. J. Kraus z Mäd. M. Kozłowska z Jarosławia. R. Trojan z Wrocławia. M. Köry i J. Lidry z Wiednia. T. Polański z Stoków. E. Zimermann z Hambur_a.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 10 września. Kursa giełdowe.
Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr.	z r. 1890	3%	287.—
„ „ „ „	z r. 1889	3%	000.00
Tow. żegl. na Dunaju	100 zł. m. k.	4%	277.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880	100 zł.	5%	279.—
Węg. Banku hipotecznego	po 100 zł.	4%	260.50
Pożyczka serbska prem.	pc 100 frank.	2%	87.00
Tureckie cbl. prem. kolej.	po 400 frank.		112.75

b) bezprocentowe:
Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.75. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 437.00, Clary 40 zł. m. k. 168.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 79.00, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 71.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfty 40 zł. m. k. 166.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 53.25, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.25, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 68.—, Salma 40.00, m. k. 222.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 240.00, Losy komuualne m. Wiednia z r. 1874 479.50.

Wiedeń 10 września. (Giełda towarowa). Cukier 22·00 (spokojnie). Spirytus 41·60 (słabszy). Nafta niezmieniona.

Berlin 10 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

Paryż 10 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·35. Mąka („Fleur de Paris“) 29·20.

Budapeszt 10 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·46—7·47, na kwiecień 7·68—7·69; żyto na październik 6·21—6·22, na kwiecień 6·48—6·49; owies na październik 5·48—5·49, na kwiecień 5·72—5·73; kukurudza na wrzesień 6·27—6·28, na maj 1904 5·49—5·50. Rzepak na wrzesień 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna: ożywiona. Usposobienie: przyjemniejsze. Pogoda: deszczowo.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30. Wiedeń 10 września.

Marki 117.42, renta majowa 99.95, węgierska renta koronowa 97·70, akcye: austr. zakł. kredyt. 643.25, węg. zakł. kred. 712·00, anglobanku 272.50, unionbanku 512.00, bankvereinu 470.50, länderbanku 404·00, kolei państw. 651.50, lombardy 81·25, akcye kolei Elbethal 415·—, fabryki broni 000·00, tytoniowe 351·25, alpiny 367.00, Rima Muranyi 453 50, prag. Tow. żel. 0000, losy tureckie 114·—, ruble 253. Usposobienie: spokojne.

Lwów 01 września. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 570.— do 580.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 530 00 do 540 00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc los w 50 lat 100.80 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 97 80 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.70 do 102·40. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 98·75 do 99.45 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98 70 do 00 00, 4 proc. los w 41 i pół latach 9· 70 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98 70 do 99·10.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 99.80—100.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.0 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em) 101.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj z roku 1873 4½ proc, —.— do — —. 4 proc z 1893 r. 99.30—100.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96 50 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.50 do 000.00.

Monety. Dukat cesarski 11.24 – 11.40 Napoleondor 19.00 do 19.20. Sto rubli papierowych 252.00—254.50. Sto marek 117.10 do 117.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2 30**, 7.55, 5.30 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7 35, 5.08, 10 02*.
Z Tarnopola: 3.30* (na dw. gł.) 3.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1 40**, 6.20, 5.40, 9.30*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **3.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 8.15 (od 17|5), 8.14 (od 17|5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17|5 w niedziele i święta), 8.25* (od 15|5 w dni powszednie), 9.12* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Tuchli: 4.35 (od 15|6).
Ze Skolego: 4.35 (od 1|5).
Z Pustomyt. 9.35 (od 1|6 w niedziele i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2 04**, 6.43, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05. 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17|5 w niedz. i święta), 3.15, 6.30*, 9.55 (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 7.05* (od 17/5), 2.10 (od 17|5 w niedz i święta), 3.30 (od 15|5), 8.14* (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Tuchli: 3.05 (od 15|6).
Do Skolego 3.05 (od 1|5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1|6).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

24)

CIEPŁE KLUSKI.

(Z francuskiego.)

(Dokończenie).

— Jednego słowa przed tobą nie skłamałam! Zawsze mówiłam ci prawdę.

— Tak? A ten salon arystokratyczny, w którym niby-to spotykaliśmy się?

— Więc uważasz, że Vaudelnay'owie należą do sfery mieszczańskiej?

— No, nie... A ta osoba tajemnicza i zazdrosna, do której niby-to należysz, te obowiązki pozbawiające cię swobody? Byłem najmocniej przekonany, że jesteś zamężną i dzietną, a ty jeszcze utwierdzałaś mnie w tem przekonaniu.

— Czyż nie więcej niż mąż, niż dziecko, znaczył ten biedny dziadek, starzec ośmdziesięcioletni, który mnie jedną tylko miał na świecie i któremu zawdzięczam wszystko?

— A ta obawa zdradzenia się przedemną? I rzeczywiście byłaś gotowa przez całe życie zachować swą tajemnicę?

— Miałam ten zamiar, lecz czułam, że zabraknie mi siły. Byłabym się przyznała w starości, lub przed śmiercią.

— Dlaczego?

— Ponieważ jestem bardzo niedowierzającą, a chyba zwierzenia twoje nie mogły natchnąć mnie zaufaniem. Nie zrozumiałbyś mnie, gdyż nawet nie zadawałeś sobie trudu przyjrzeć mi się. A zresztą — dodała ciszej — jestem bardzo dumną.

— Rosie! — odrzekłem — bądź dobrą do końca i zapomnij o tych wszystkich *ponieważ*. Przysięgam, że w gruncie kochałem tylko ciebie.

— W gruncie! — westchnęła, odwracając głowę, by ukryć łzy w oczach — tak, w gruncie i bardzo głęboko, bo sądząc z powierzchowności...

— Kocham cię. Nie chcę znać żadnej innej kobiety... Zresztą, sama widziałaś, jak jestem wiernym!

— Od trzech miesięcy — dodała. — Śliczna wierność!

— Ale przecież nie znałem cię... A teraz znam. Posiadasz wszystko: serce, rozum, gotowość do poświęceń, tkliwość, a nadto jeszcze usposobienie poetyczne.

— Czy ci nie wstyd? Przypomnij sobie, jaki to przydomek nadałeś mi...

— Cicho! Nie czytałem wówczas listów twych. A przytem, Rosie, jesteś taka piękna! Zachwycam się tobą i kocham cię. Jakie szczęście, że pani mych myśli nie jest kim innym!

Lekkie uściśnienie dłoni podziękowało mi za te słowa i dało do zrozumienia, że i ona jest szczęśliwą.

Długi czas siedzieliśmy milcząc.

Nagle Rosie wyrwała swe ręce z moich i namarszczywszy brwi, zapytała:

— Kto wyjawił ci mój sekret? Nikt nie wiedział o nim.

— Wracajmy do domu, bo wilgotno... Opowiem ci.

Gdy ukończyłem krótkie opowiadanie pościgu za bibułą, uniesioną przez wiatr, rzekła:

— Jaki Bóg dobry!

Tak jest; zdarzają się dni, w których Bóg jest dobrym, ale bywa niekiedy i bardzo okrutnym.

Wchodziliśmy już na schody peronu, gdy spostrzegłem, że zapomnieliśmy o rzeczy bardzo ważnej, jak niektórzy budowniczowie roztargnieni, co budując dom, zapomnieli o schodach.

— Rosie! — rzekłem — przyniesiemy im wielką wiadomość.

Jednym z główniejszych rysów jej charakteru była skłonność do ukrywania wzruszeń czułych, pod maską chłodu.

Więc i w tej chwili zapytała na pozór obojętnie:

— Jaką wiadomość wielką?

— Że zostaniesz moją żoną.

Przestała udawać.

Ujęła obie moje ręce i patrząc mi w oczy, rzekła:

— Drogi mój, należę tylko do ciebie! Mów, co chcesz, i kiedy ci się podoba. Dziadek mój będzie szczęśliwym!

Ojciec mój, spostrzegłszy nas wchodzących, odłożył dziennik na stronę.

Matka pisała.

Stryj, według zwyczaju, odszedł już do swego pokoju w wieży. Wcześnie udawał się na spoczynek.

— Cóż burza? — zapytał ojciec — dużo nałamała gałęzi?

— Niewiele — odrzekłem — ale choćby zniszczyła cały park, to bylibyśmy jej wdzięczni...

Rodzice spojrzeli na mnie zdziwieni, nie domyślając się powodów mego wzruszenia.

— Czy chcą rodzice przyjąć za córkę tę oto drogą istotę?

Całowaliśmy się wszyscy, już nie wiem nawet przez jak długo, w milczeniu i tak serdecznie, że gdy odzyskaliśmy możność mówienia, nie było nic więcej do powiedzenia.

Odtąd sierota była u siebie, w domu, w którym miała zestarzeć się, ale nie jak ciotka Fryderyka i ciotka Aleksandra.

Gdy Rosie udała się na spoczynek i zostaliśmy sami, ojciec rzekł do mnie:

— Powiedziałeś mi niedawno, że nie uważasz swej kuzynki za kobietę. Widocznie, zmiana nastąpiła prędko... Jakoś wszyscy za pośpiesznie zmieniliśmy usposobienia, nawet ludzie rozsądni, bo i mnie ta mała zawróciła głowę. Nie zastanowiłem się... Jesteś jeszcze tak młodym!

Przerwałem ojcu te uwagi spóźnione i opowiedziałem historyę mej kuzynki „Ciepłe Kluski" i pani mych myśli.

— Mój drogi! — rzekł, powstając, gdyż było już późno — życzę ci jednej tylko rzeczy: abyś mógł wywdzięczyć się swej żonie za wszystko, co ci daje. Jutro rano sam rozmówię się ze stryjem Janem.

Ten ostatni, gdy rzuciłem mu się na szyję, by podziękować za odpowiedź przychylną, spojrzał na mnie wzrokiem prawie lękliwym, podobnym do tego, jakim przed trzynastu laty, wieczorem, błagał babkę moją o przyjęcie pod swój dach biednej sieroty, pozbawionej ojca i matki.

— Kochasz ją, prawda? — zapytał. — Nigdy nie sprawisz jej zawodu? Ty nawet nie wiesz jak egzaltowaną miłością ona kocha ciebie! Ja dawno domyśliłem się tego i bardzo cierpiałem przez to. Nawet dziś jeszcze lękam się; ona kocha cię zanadto! Będziesz w swych rękach trzymał jej życie i moje, dopóki będę na tej ziemi...

Uklękłem przed moją kuzynką, pocałowałem jej rękę i odrzekłem:

— Niech stryj będzie spokojnym!

Zdaje mi się, że prosta ta odpowiedź zadowoliła go.

Lisbeta odjechała sama opróżnić mieszkanie przy ulicy Assas i powróciła, by uczestniczyć w ślubnej uroczystości swoich młodych państwa.

W dwa miesiące później, jak już wspomniałem wyżej, zaślubiła tego oryginała-ogrodnika.

* * *

Gdy zamknę oczy nazawsze, syn mój dowie się z tych wspomnień, jak kochałem jego matkę, którą on znał tak mało.

Gdyż nie zestarzała się w Vaudelnay!

Zajęci różnemi projektami, szczęśliwi i spokojni o przyszłość, nie myśleliśmy, że śmierć może dokonać rzeczy strasznej: zabrać tę istotę nigdy niezapomnianą!

Ileż razy odkładałem pióro, przypominając sobie te chwile szczęśliwe!

Droga, nieobecna, widziała to. Wie, jak ją kochałem, wie, jak ją opłakuję, gdy nikt na mnie nie patrzy... wie, że myśl o niej nie opuszcza mnie nigdy, choć na pozór duszą i ciałem przebywam między żyjącymi.

Więc, aby to drogie wspomnienie gdzieś przetrwało nadal, gdy my złączymy się znowu tam, w górze, pomieszczam je z czcią na tych kartach, jak przed niszczącem tchnieniem wiatru zamykają pod złotem i kryształem kwiat, mający opowiadać o krótkich chwilach minionej nazawsze radości...

KONIEC.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Z drukarni E. Winiarza.